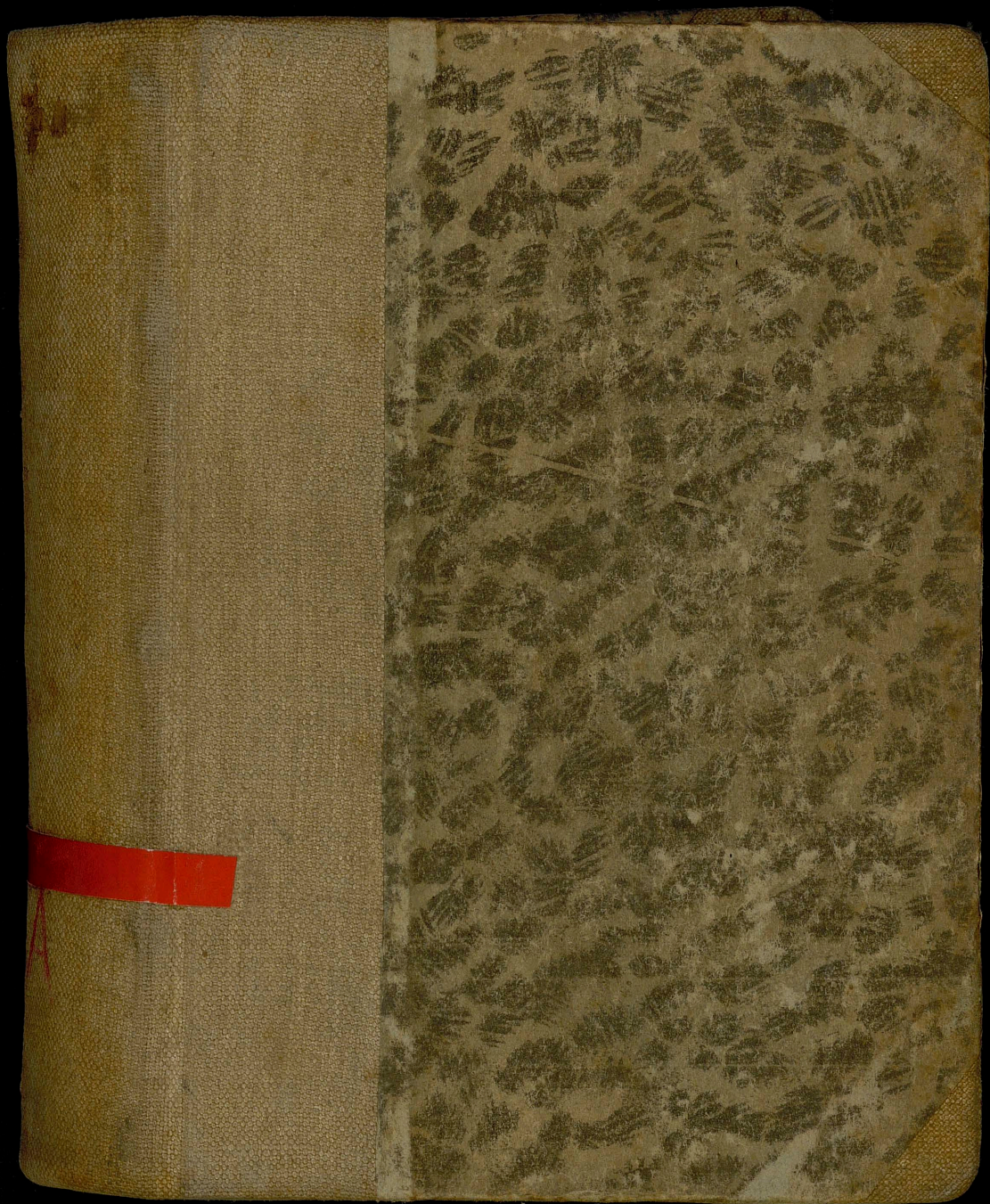






ŻYWOTY
POLSKICH DJABŁÓW

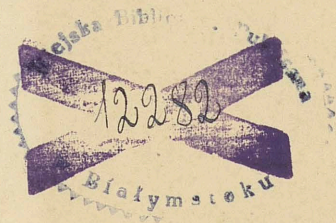
WITOLD BUNIKIEWICZ

ŻYWOTY
POLSKICH DJABLÓW

1930

NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO „PIONIER”
(Spółka z ogran. poręką)
W A R S Z A W A

3 ✓
x



27.

884-3:398(408)

W
mark 399
20/12/16

DRUKARNIA LITERACKA
Warszawa, Nowy Świat 22. Tel. 281-88

GDZIE JEST PIEKŁO
I KTÓRĘDY DO NIEGO
IŚĆ NALEŻY?

*ZASTANAWIALI SIĘ NIERAZ LUDZIE
i pytali mędrców obznajomionych z sprawami
wielkiej wagi, gdzie leży piekło i którędy do nie-
go wchodzi grzeszne dusze, a wychodzą djabły
na ziemię? Na ten temat wiele już rozprawiano,
a poglądy bardzo się różniły od siebie.*

*Proboszcz z Rypina był zdania, że piekło znajdu-
je się pod naszymi nogami, w głębokiej czeluści,
natomiast dziekan z Rozdołu, mąż bardzo światły
i z księgami obznajomiony, twierdził z całą pewno-
ścią, że piekło znajduje się na jednej z gwiazd.*

*Gwiazda ta jest czarnego koloru, nigdy nie świe-
ci, obraca się naopak i zije straszliwemi parami,
które często dochodzą nie tylko do ziemi, ale na-
wet zakazają słońce.*

Wyjdiesz czasem letnią porą przed dom, a do

NOZDRZY twoich doleci zapach tak szpetny, iż mało nie omdlejesz — to dymy unoszą się z diabelskiej gwiazdy i trują powietrze, przypominając wszelkiemu stworzeniu piekło.

Do poglądów dziekana rozdolskiego nakłaniał się scholastyk płocki, Idzi, ale skutkiem tego wpadł w zatarg z kanonikiem Mateuszem, który utrzymywał z całą pewnością, że na czarnej gwiazdzie znajduje się czyściec.

Jeśliby bowiem znajdowało się tam piekło, struła by się ziemia, a na świecie nie byłoby ani jednej rośliny, ani też żadnego stworzenia, gdyż wolno puszczone dymy piekielne zabiłyby każde życie.

Piekło więc znajdować się musi koniecznie pod ziemią i to w znacznej głębokości, przyciśnięte srogimi bryłami i głazami.

W podobny sposób zeznawała, wzięta na męki w Wyszogrodzie, czarownica Marta Ślendzianka, ale nie domówiła reszty, bo silniej pociśnięta przez mistrza wyzionęła ducha i nie mogła wskazać miejsca, którędy wchodziła na nieczemne harce z diabłami.

PRZEDWCZEŚNIE dobiły ją czarty, aby nie zdradziła wielkiej tajemnicy.

Stuszenie bowiem obawiają się, że wydanie tego sekretu mogłoby spowodować ogromne nieszczęścia.

Cóżby się bowiem stało, gdyby jakiś odważny egzorcysta, a takich jest niemało, uzbrojwszy się w wodę święconą i relikwje, wszedł do piekieł?

Mógłby wypędzić stamtąd wszystkie czarty, zagaścić ogień piekielny i samego Lucypera poprowadzić jak brytana na łańcuchu za swą nogą.

A mogłoby się zdarzyć jeszcze inaczej.

Niechby ludzie wypatrzili, gdzie znajduje się piekielna brama, zarazby zabili ją deskami, wymalowali krzyż, a pod nim zawiesili obraz Najświętszej Panienki.

Żaden diabeł nie mógłby się wtedy dostać do piekieł, a grzesznicy mnożyliby się na ziemi jak muchy w lipcu i nie lękaliby się pokarania, wiedząc, że czarty nie zedrą świętych znaków i nie poprowadzą lotrów na wieczne zatracenie.

Bardzo źle byłoby wtedy na świecie, gdyż ustała-

BY MIARA między sprawiedliwymi a bezbożnymi.

Są ślady w pismach, że pewien dominikański braciszek natrafił przypadkiem w Warszawie na wejście do piekieł.

Widział bowiem, jak wynurzył się straszliwy demon, zawałił otwór skałą, a na niej posadził stuletnią topolę. Braciszek był okrutnie mocny, nie zwierzył się więc nikomu, powalił drzewo, rozrąbał skałę i wszedł do jaskini.

Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, upadł z odurzenia i znaleziono go po kilku dniach, leżącego bez zmysłów.

Dopiero później zrozumiał braciszek, dlaczego nie dokonał ważnego dzieła?

Chciał iść do piekieł, nie opowiadawszy się przeorowi, dlatego były się go straszliwe dymy piekielne i zmąciły mu głowę.

Gdyby miał czyste sumienie, byłby napewno dokonał wiekopomnego odkrycia.

Co nie udało się dominikańskiemu mnichowi, powiodło się panu Dymzie.

DZIAŁO się to akuratnie w Tłusty Czwartek przy ulicy Brackiej w Krakowie, opodal franciszkańskiego kościoła, w winiarni Sulimierczyku pod Złotym Kogutem.

Pan Dymza, wychodząc z piwnicy, stracił nagle kierunek i zamiast zwrócić się na prawo, poszedł na lewo.

Stąpając ostro przed siebie, zawadził nogą o belkę i runął w przepaść.

Zaraz zmiarkował, że wpadł w jakowąś nieczystą pułapkę, więc wyciągnął szablę z pochew i oparł się przezornie o ścianę, aby mieć tyty osłonięne.

Nagle poczuł straszliwy żar w plecach, jakby uraził się o piec napalony do czerwoności.

Przysunął się do drugiej ściany, a tam znów mroził go lód, gorszy po stokroć niż w czasie najśroźszej zimy.

Dopiero przy trzeciej ścianie zrobiło mu się błogo i przyjemnie, a patrząc naprzeciwko, dostrzegł wyraźnie szparę, przez którą migotało światelko. Kopnął drzwi i wszedł do wnętrza.

Odrazu rozpoznał gdzie jest, lecz nie uląkł się ani

PRZECZ chwilę, tylko mocno ścisnął poświęcaną szablę i przyspieszył kroku.

Szedł z pół godziny po dobrze oświetlonym korytarzu, pokichując czasami, bo srodze kręciło go w nosie.

Nagle spotkał nieforemnego człowieczka, który zagadnął:

— Głajt jest?

Pan Dymza wskazał na sygnet ze znakiem *Ossorji*, który, jak wiadomo, wywodzi się od djabelskiego pazura, więc plugastwo skłoniło się nisko i zeszło z drogi.

Dymza, minąwszy szkaradę, szedł dalej zapamiętale, oglądając się na wszystkie strony, spodziewał się bowiem zasadzki czartowskiej.

Dla dodania sobie odwagi wyciągnął na wierzch poświęcany szkaplerzyk, wiedząc, iż ochroni go od podstępów djabelskich, lecz rozważwszy sprawę, schował świętość pod kapotę, nie chciał bowiem, aby oczy Najświętszej Paniénki padały na djabelskie bezecństwa.

I dobrze zrobił.

NIEDEUGO potem, przy pierwszym skręcie korytarza, wyskoczył obrzydliwy potwór, cały porośły szczecią.

Merdał okrutnie ogonem, pazurami wydrapywał iskry z kamienia i sapał jak sto szkap dychawicznych. Potwór zatamował przejście widłami, ale pan Dymza nie stropił się tą groźbą, lecz huknął na całe gardło:

— Precz, hultaju, z szablą do mnie stawaj, a nie z stajennem narzędziem!

Donośny głos i pewna postawa podziały widoznie na czartowskiego sługę.

Zmiarkował, że jeśli pan Dymza łąje, ma ku temu prawo i lepiej nie stawiać mu przeszkód.

Szedł więc szlachcic dalej spokojnie, pragnąc dotrzeć do samego *Lucyfera* i też skrócić sobace, lub conajmniej na nim wymóc, że nigdy nie będzie wodził na pokuszenie.

Inaczej się jednak stało.

Zaledwie przelazł pan Dymza przez wąziutką kładkę rozciągającą się nad ogromną rzeką smoty, obskoczyło go kilka tuzinów djablic.

NIE MOŻNA powiedzieć, aby były szkaradne.

I owszem, udały się zupełnie.

Jedne miały włos czarny jak heban, inne złoty, niby dojrzały snop pszenicy, były płowe i szare, a niektóre nawet rude, wszystkiem zaś błyszczały oczy jak wilkom po nocy.

Pan Dymza strzepnął ręką, chcąc odgonić djablice, ale nie pomogło.

Opadły go gromadą, chichocząc i szczerząc zęby, tak jakoś dziwnie, że aż ciarki przeszły wędrowca od głowy do pięty.

A jedna wołała przez drugą:

— Będę twoją, bądź moim, nie bierz tamtej, tylko mnie — mnie — i stał się taki krzyk i harmider, że aż głuchły uszy.

Choć pan Dymza nie był na płęć piękną zamadto łasy i wołał zawsze szklaneczkę niż dziewczkę, jednak wspomniął, że przeżył w kawalerstwie czterdzieści pięć wiosen i nie wadziłoby mieć w domu żonkę.

Lecz, jakżeż taką poślubić? Tfy — grzech, nijako i niebezpiecznie.

A OWOŻ jedna, przedarłszy się przez ciżbę, pochwyciła Dymzę za szyję i uwiesiwszy się na niej niby gruska na gałęzi, zawołała:

— Już cię nie puszcę!

Mówiąc to, przywarła cała do szlachcica, obsypując go pocałunkami.

Takiej przyjemności nie zaznał Dymza póki żył. To czerwieniał, to bladł, trząsł się jak w febrze, potem zalewał go upał okrutny i nie zwracał nawet uwagi, że djablice rozsierdziły się nad miarę i skaczą sobie do oczu, wyklinając jedna drugą, iż przeszkodziła jej dorwać się do udatnego chłopca. I stał się taki zamęt i ogólna nieprzyjaźń, że z głębin czeluści poczęły nadlatywać czarty, aby rozdzielić poważnione piekielnice, które wodziły się już za czuby, wyrywały sobie z łbów kudły i rozdzierały do krwi zębami i pazurami.

Pan Dymza nie wie, co się stało, lecz ocknął się dopiero na świeżem powietrzu, a gdy pozbierał zmysły, ujrzał wedle siebie nieszpętną niewiastę, która uśmiechając się wesoło, kładła mu na głowę mokre chusty, poita pachnącą driakwią i szepta-

ŁA DO UCHA: — Nic to, nic, za chwilę będzie już dobrze. Zmylił waszmość trochę drogę i znalazłam go w rynsztoku przed moim domem. Wydrżyna jestem, wdowa po trybunalskim asesorze! Pijaczyną był nieboszczyk i zmarł przed rokiem, dając mi zaledwie zakosztować rozkoszy szczęścia małżeńskiego.

Dymza byłby przysiągł, że widział tę niewiastę w piekle, ale nie śmiał zadawać jej kłamu, aby nie wydać się gburem, milczał więc i myślał.

— Poznałbym ją po całowaniu, ale nie wypada postępować obcesowo, przywabie kobietę jeszcze do tego i wtedy dopiero wyda się prawda.

Więc niby od rzeczy, niby do rzeczy, kołowaniem tędy i owędy próbował znieść gospodynię.

I niedługo zastawiał sieci, bo ani się opatrzył, gdy wdowa zsunęła mu się w objęcia, a wpadłszy w ramiona, przywarła jak ogień do żywicy.

Wzdrygnął się Dymza, bo poczuł ten sam smak pocałunków, co w piekle.

Nie było jednak gadania, w trzy tygodnie Wydrżyna zwała się już Dymzową.

A LUDZIE, którzy ją znali, mówili, iż zastępną jako dobra małżonka.

Sama krupnik warzyła i zaprawiała nalewki, a gdy mąż usnął, siadała wedle łoża i gałką odganiała muchy, aby miał sen słodki i niezamącony. Tylko wobec innych kobiet wychodziła na jaw jej szatańska natura.

Jeśli zbliżyła się niektóra z przysmieszkiem lub przyjazną intencją, jako że małżonek był chłop urodny i w języku wielce przymilny, stoszyła się niby opadnięta wilczyca, parskając i cięła złością, gotując się rozplatać napastnicę pazurami, akuratnie tak samo, jak wtedy, gdy zobaczyła w piekle pana Dymzę.

Małżonek zaś milczał, bo nie śmiał wyjawiać nikomu pochodzenia swej żony.

* * *

Trzecie wejście do piekieł znajduje się pod Krzywym Mostem, niedaleko Mławy, a jest tak zarośnięte łożyną i chwastem, iż niepodobna go wypa-



Miejska Biblioteka Publiczna

TRZEC. A przecież dostrzegł piekielne wrota
głupi Kondziołek.

Mówiono, że miał rozum pomieszany, ale mało
w tem prawdy.

To pewne, że Kondziołek był próżniakiem i lataw-
cem, nigdzie nie zagrzał kąta, a gdy pytano, kto
go żywi? — odpowiadał bez namysłu:

— Wróble i stara pliszka.

Niemądrzy ludzie myśleli, że niepoń bredzi,
a tymczasem, mówił tak jak było.

U Antoniego Wróbla pasał Kondziołek bydło,
a dla starej Pliszkowej, która zamawiała choroby,
zbierał zioła po polach i łąkach — nic więc dzi-
wnego, iż żywili go, a czasem nawet przyodziali:
Wyciął tedy Kondziołek sękaty kij w lesie, usiadł
pod mostem i czeka:

Czeka od południa do wieczora — nic — dopiero
dobrze po zmierzchu zaszuściło w łozinie, a z pod
mchów wysunął się zwolna rogaty łeb czarta.

Wybałuszyl na próżniaka ślepie, a widząc wznie-
sioną nad sobą pałę, zawołał:

— Nie bij!

KONDZIOŁEK spuścił kij z całej siły, lecz sę-
kacz zsunął się po rogach czartowskich, nie naru-
szając czaszki.

Djabel zawył żałośnie i śmignął pod nosem pą-
stucha.

I byłby drapnął szczęśliwie, gdyby nie długi
ogon, który wlokł za sobą.

Pochwycił Kondziołek koniec kity i ciągnie do
siebie, a djabel do siebie.

Stękają obaj z wytężenia, lecz czart mocniejszy,
szarpnął raz i drugi, dał susa, a chłop jak długi
wywalil się na ziemię.

Patrzy — pół ogona trzyma w garści, a z dali do-
latuje go płacz i narzekanie — to djabel tak sko-
mli po utracie swej ozdoby.

Boli go i wstyd nam miota, że dał się tak oszpecić.
Skoro inaczej być nie może, zaczyna czart po do-
bre mu:

— Panie Kondziołek, oddaj ogon, kupię ci nowe
buty!

A głuptas nie odpowiada, tylko kitę wsunął za
wstęgę kapelusza i pogwizduje radośnie.

— *DAM CI dukata — woła djabeł — a dryblas ani nawet słucha.*

— *Dziesięć dukatów zapłacę, sto dam, jeśli ma-
ło — skomli czart pokrzywdzony.*

— *Kup sobie nowy u żyda, odrzeknie niecnota i kieruje się prosto ku wsi, aby pokazać zdobycz. A djabeł w bek:*

— *Kondziółku, Kondziółeczku, miej litość, nie gub na zawsze czarta, który ci nic nie zawinił, ani nigdy nie zawini. Co każesz, to zrobię, oddaj tylko połowę ogona, bo spalę się z hańby.*

— *Zgoda, — odrzeknie pastuch — oddam kité, ale zaprowadzisz mnie do piekła i pokażesz twego księcia.*

Czart wymawiał się, że uczynić tego nie może, że żaden żywy człowiek nie wszedł jeszcze do piekła, że boi się Lucyfera, ale Kondziółek obstawał przy swoim i niepodobna mu było wybić z głowy tej szalonej zachcianki.

Ponieważ nie przyszło do innej ugody, djabeł podważył pazurami murawę i szustnął w dziurę, wciągając za sobą upartego nieponia.

I JAK TU było wierzyć ludziom, gdy opowiadali, że Kondziółek jest głupi i rozum ma pomieszany.

Przez rok i sześć niedziel zwiedzał pastuch piekło, kamracił się z czartami, usługiwał nawet Belzebubowi, a z Lucyferem rozmawiał, jakby z wójtem lub proboszczem, z respektem, ale bez bojaźni.

Nasiąkł tylko okropnie siarką, a gdy wrócił na ziemię zdrów i nienaruszony opowiadał, co widział, wszystkim dla przestrogi.

Z łatwością może się każdy przekonać, że Kondziółek nie skłamał, gdyż błąka się dotychczas po świecie czart, nazwiskiem Belzun, ma zeszyty ogon, a szwy znać jeszcze na skórze.

Djabeł ten omija zdala ludzi i psów się boi okropnie, dla wszelkiej zaś pewności nie włoży za sobą ogona, lecz przerzuca go przez ramię, bo gdyby mu jeszcze raz naderwano kité, na wieki już pozostałby oszpeconym.

Jeśli jednak zagadnąć diabła dobrem słowem

I OKAZAC mu łagodność, opowie, jak wszystko było, żaląc się serdecznie na Kondziolka.

Czwarte zaś wejście do piekieł znajduje się na bagnie w Brzozdowcach.

Tego nikt nie zaprzeczy, bo może złożyć świadectwo conajmniej ze stu żydów i tyluż chrześcijan.

W mieście tem żył wielki bogacz, Szmul.

Bardzo był nieużyty i chociaż codzień jadał rybę lub kurę, nie wspomógł nigdy biednego.

Skrzywdził starą Grzegorzową, puścił na dziady Piotrowicza, niszczył procesem Myszkowskiego, a z rabinem nawet nie mógł się zgodzić.

Nie darował nikomu, swój czy cudzy, bo wszystkiego miał za mało, taki był nienasycony.

Nadszedł Sądny Dzień.

Szmul Bogacz poszedł do bóżnicy i zagłębił się w święte księgi.

Modlitwa nie szła widocznie do Boga, bo przed świątynią zjawił się czart i stanął na czatach.

A GDY Szmul około północy wychodził z bóżnicy, diabeł łap go za kark, przerzucił jak worek przez plecy i puścił się cwałem za miasto.

Wszczął się straszny wrzask i zamęt.

Kto żyw, wypadł z domu, chwycił pałę, kół lub ożóg i pędził za diabłem, który rwał z kopyta, przeskakując jak fryga doły i wyboje.

Ludzie nie mogli mu nadążyć, lecz widzieli dokładnie jak skoczył w bagno i pogrążył się w niem wraz z Szmulem.

Miejsce to pokazują jeszcze do dzisiaj i jest ono postrachem dla wszystkich wyzyskiwaczy i lichwiarzy.

Piąte wejście do piekieł znajdowało się długi czas pod Lublinem, wedle trzech krzyżujących się dróg, u wielkiego kamienia.

Zasypali je jednak pobożni ludziska i wybudowali w tem miejscu kapliczkę z Męką Pańską.

Jest jeszcze w Polsce kilka, a może i kilkadziesiąt

*WRÓT piekielnych, ale bardzo trudno dowie-
dzieć się, gdzie i w którym miejscu.*

*To pewna, że diabły nie próżnują, lecz ryją ciągle
w ziemi nowe chodniki, aby mieć łatwiejszy do-
stęp do ludzi i coraz liczniejsze porywać ofiary.*

*Świadomi spraw twierdzą, że ze wszystkich miast
na świecie najbardziej podkopany jest Rzym, cze-
mu się dziwić nie można, bo diabły strasznie są
zawzięte na stolicę Piotrową, chcieliby ją potknąć
jak najprędzej, lub rozgotować w smole.*

Cóż, kiedy nie mogą dać rady...

*W JAKI SPOSÓB BORUTA
ZOSTAŁ WOJEWODĄ?*

*JAK DŁUGO ŻYLI POLACY W PO-
gaństwie, wszystko, co znajdowało się na ich
ziemi, należało do Lucyfera.*

I ludzie i pola i domy i każdy dostatek.

*Djabły chodziły po Polsce, jak po swoim, poma-
gając ludzom w pracy rozumem i rękami. Często
więc można było widzieć, jak zaprzęgały się do
pług a orwały rolę, pasły bydło lub kręciły młyn-
skie kamienie.*

*Dlaczegoż tego nie miały robić? — Jak spojrzeć
wszędę było ich władztwo.*

*Więc gdy w innych ziemiach krew się lała, mór
trzebił grody i osady, a łupieżnicy ciemieżyli lud-
ność, w Polsce panował błogi spokój.*

Nie szczuły djabły ludzi na siebie, nie wciskały

*JAK DŁUGO ŻYLI POLACY W PO-
gaństwie, wszystko, co znajdowało się na ich
ziemi, należało do Lucyfera.*

I ludzie i pola i domy i każdy dostatek.

*Djabły chodziły po Polsce, jak po swoim, poma-
gając ludzom w pracy rozumem i rękami. Często
więc można było widzieć, jak zaprzęgały się do
pługa i orały rolę, pasły bydło lub kręciły młyn-
skie kamienie.*

*Dlaczegoż tego nie miały robić? — Jak spojrzeć
wszędą było ich władztwo.*

*Więc gdy w innych ziemiach krew się lała, mór
trzebił grody i osady, a łupieżnicy ciemnieżyli lud-
ność, w Polsce panował błogi spokój.*

Nie szczuły djabły ludzi na siebie, nie wciskały

IM W RECE płonących żagwi, lecz łagodziły
waśnie, odganiały zakażone powietrze, a biedakom
i niedołęgom przysparzały dobytku, nie chcąc,
aby zbytnia bieda wzniecała w duszach ludzkich
zazdrość i chciwość.

Wszystko to czyniły biesy z przebiegłości i wyra-
chowania, by pokazać i rzec:

— Patrzcie, jak szczęśliwe jest nasze królestwo
i jak dobrze ludziom pod djabelskim berłem.
Omaniali ludzi doczesnemi dostatkami, a dusze
ich wlekli na wieczne zatracenie.

Znaleźli się jednak czujni mężowie, którzy przejr-
zeli chytrą djabelską i poczęli głosić wiekwiastą
prawdę.

I wnet przyjęli ją Polacy i tak gorliwie spełniali
przykazania, że nie można było lepiej. Djabyły
wtedy stały się złe i mściwe, zaczęły czynić lu-
dziom na przekór, szkodzić i zwodzić, ale nie mo-
gły niczego dokazać.

Lucyfer był z wściekłości, iż stracił tak potężne
królestwo i przemyślał nad sposobem zniszcze-
nia zbuntowanych poddanych.

WYSYŁAŁ najmędrszych zastępców na ziemię,
sam jakiś czas zamieszkał nad Wisłą, usadowiw-
szy się na Czartowskiej Skale, ale djabły zabiegi
szły na marne, gdyż wszyscy Polacy wędrowali
do nieba, tak byli pobożni i cnotliwi.

Zrozumiał przeto Lucyfer, że obcy panowie
w Polsce przewodzić nie mogą, bo niczego nie
wskórają, oglądnął się więc za rodowitym Pola-
kiem, aby go uczynić djabłem i oddać mu w swem
imieniu całą ziemię, we władanie.

Księżę ciemności długo szukał i znalazł.

Na Kujawach żył niebylejaki witeź Boruta.

Szerokie posiadał ziemie, dom z kamienia lepszy
miał nawet od księżęcego w Gnieźnie i niczem nie-
zaspokojoną pychę.

Nikomui nie chciał hołdować, ani Bogu, ani kró-
lowi.

Czynił wprawdzie na piersiach znak krzyża, ile-
kroć przestępował próg królewskiego grodu dla

POKAZANIA, że przyjął prawdziwą wiarę, lecz w głębi serca nienawidził nowych obrządków. Z biskupem i z mnichami wojował otwarcie.

Trzy razy nasyłał zbirów na klasztor Benedyktynów, którzy osiedli nad Wartą, ucziwe kobiety wywlekał gwałtem z domów i rzucał pacholkom na zabawę, a gdy go opat Arnold obłożył klątwą, porwał opata i obwiesił na suchej gałęzi.

Strach padł na duchownych i lud chrześcijański, a Boruta szalał dalej bez upamiętania, zagrażając nietylko Kujawom, ale podsuwając się daleko poza płocki gród, aż po Kraków i śląskie ziemie.

Połączyli się więc chrześcijańscy panowie, aby schwycić rzezimieszków.

Cale lato zajężdżali konie, nie mogąc dojechać zbrodniarzy, choć nieraz natrafiali na ich ślady. Czarcie siły były z nimi w przymierzu.

Raz wedle Biskupic, gdzie Wisła szeroko się rozlewa i huczy głębią, napotkali orszak Boruty.

Łotry rozkulbaczyli konie i spali w zaroślach, a nad ich głowami wysoko krążył kruk i przepatrywał okolicę.

SKORO ptak zwietrzył niebezpieczeństwo, zakrakał przeraźliwie i rozbudził śpiących.

Porwali się do mieczy, widząc jednak znaczną przewagę nieprzyjaciół, nie chcieli spotkania, lecz szukali ocalenia w ucieczce.

Koniom ich, wysiłonym długim pochodem, nie starczyłoby na długo siły, ale nieczyste moce przybyły z pomocą służalcem Boruty.

Zaledwie ujechali dwa stajania, pędząc na oślep przed siebie, zerwał się straszliwy tuman i ciskał w chrześcijańskich pacholków takie chmury piasku i żwiru, iż ludziom i koniom dech zapierało, a oczy ślepty od kurzawicy.

Chrześcijańscy wojownicy parli jednak naprzód, niepomni, iż całe piekło mają przeciw sobie. Lucyfer upatrzył już Borutę na swego namiestnika w Polsce i zapragnął go okryć sławą, aby wzrósł w znaczeniu i tem łatwiej mógł plątać ludzkie rozumy.

Węc nad Krzemienicą zgotował klęskę wrogom swego przyjaciela.

BOLKO z Zdziembusza, który jeden tylko ocalał z tego pogromu, przysięgał, iż tak było:

— *Piotr z Nasięgnięwa dostrzegł pierwszy, poprzez obłoki kurzawy, że zgraja Boruty zatrzymała się w kotlinie, aby dać wytchnienie koniom, z których wychodziła już ostatnia para.*

Krzyknął więc na Tulibowczyków, którzy tuż za nim następowali i wraz z Ludkiem z Junoszyca i hurmą pacholców, razem w dwieście kopij, runął na drabów.

Omanito jednak rycerzy.

Kopje skrzyły się w dłoniach i zaryły w żwir potoku, na karki ich spadły zaś smoki drapieżne i odgryzały łby od kadłubów, fruwając, jak komary w powietrzu, ómą ogromną, iż nie można było ani kłuć, ani ciąć, nie wiedząc, z której strony uderzą.

Nim upłynęło tyle czasu, ile człek zdoła odmówić trzy „Zdrowaś Marja“, powaliło się wojsko chrześcijańskie, jak ściepy zagnała łan kwitnącego maku, piękny w swej karmawej urodzie, a już niepożyteczny.

BORUTA stał na wzgórzu, a oglądając pole, szardział jeszcze bardziej i obiecywał sobie nie opuścić miecza, dopóki nie wytępi aż do ostatniej nogi wszystkich sług bożych na polskiej ziemi. Obdarłszy trupy z broni i odzieży, rzucił się Boruta wpraw przez Wisłę, a za nim jego hultajstwo.

Bolko z Zdziembusza widział dokładnie, jak wypłynęły z nurtów szkaradne jakieś potwory o łbach hyder a węzowym ogonie i podsadziwszy się pod konie hołoty, przewiozły ją, niby na tratwach, na suchą ziemię, poczem zatopiły się znów w głębinach.

Po tym pogromie wojska chrześcijańskiego nie było już wątpliwości, że Borutę wspomaga piekło i trzebaawiadomić o tem wszystkich wiernych, aby mieli się na baczności.

Od przeora do opata poszła więc nowina:

— *Chwytajcie syna czartowskiego, zakujcie go w dyby, lub też mu roztrzaskajcie obuchem!*

Nie może taki plątać się po świecie!

Najgorzej zaś nstawiał na czartowskiego namiest-

NIKA opat Odo, który wystugiwał się ongiś cesarzowi i chadzał z nim wojować Pomorzany. Opat świadom był djabelskich orkanów i nim został mnichem potykał się nieraz z czartami, którzy wszędy pomagają poganom, zaciągając się do ich szyków jako zwyczajni kopijnicy lub starszyzna.

Odo sprawił huf ze stu jeźdźców, poświęcił ich topory i siodła, a sam stanąwszy na ich czele, ruszył w pogoń za Borutą.

Wyprawa jednak spęzła na niczem, albowiem konie pokulały i zjadliwa gorączka powaliła z nóg rycerzy.

Zamiast potykać się z czartem leżeli we dworach kmięcych, nie wiedząc o bożym świecie.

Borykali się z djablami, które wlażyły w ich ciała i termosily wnętrzności, odejmując moc to ręką, to nogą, to całemu człowiekowi, iż leżąc pod futrami dygotał z zimnicy i niehumanym głosem wykrzykiwał niezrozumiałe słowa.

Sam opat ucierpiał mocno od szatanów i po długim dopiero mozole wypłuł z siebie diabła, który

ROZRYWAŁ jego wnętrzności. Inni zaś mniej skrzepli na ducha umierali zanim egzorcyzmy mogły skutecznie działać.

A w tym czasie, gdy Odo chorzał, a jego towarzysze wili się w opętaniu, Boruta zabijał, rabował, palił, a gdziekolwiek spotkał krzyż wszystko obracał w perzynę i rozgłaszał jak można najgłośniejsz, iż żadnego z apostołów nie oszczędzi, albowiem głoszą cesarską wiarę i starodawną mowę mają w pogardzie.

Więc nie tylko w Polsce, ale i w cesarstwie niemieckiem rozchodziła się wieść, iż nad Wisłą zrodził się Antychryst, któremu usługują diabły i pospół z nim wycinają chrześcijan.

Nic więc dziwnego, że gdy cesarz, a wraz z nim dwóch królów ogłosiło wojnę Polakom kwiart rycerstwa ruszył z całego świata i w ogromnem tem wojsku nie było ani jednego kopijnika, ani nawet masztelarza, któryby nie pałał chęcią spotkania się z Borutą.

Kujawski zaś pan pospieszył do obozu Mieszka Gnuśnego, ofiarując mu swe służby. Nie wiele

PRZYWIÓDŁ z sobą czeladzi, ale za to chłopców strasznych, aż nieswojsko było spojrzeć w ich oblicza.

Odziani byli w wetniste skóry ze zwierząt, nieznanego nikomu pochodzenia.

U jednego boku zawieszali kusze o strasliwej sile, u drugiego maczugi natkane krzesiwem.

Broń ta druzgotata pancerz jak orzechy, a sara-ceńska stal na miał się rozpryskiwała pod ich uderzeniem.

Przyjechali zaś na wierzchołcach tak dzikich i drapieżnych, iż przypominały raczej bestje z Apokalipsy, niż rycerskie rumaki.

Nikt z ludzi nie śmiał zbliżyć się do tej gromady oddanej na śmierć i życie Borucie i jemu tylko powolnej.

Sam król patrzył na tę gawiedź z odrazą, ale że szła przeciw niemu ogromna potęga niemiecka, duńska i czeska nie odrzekł się pomocy, obiecując, iż zaraz po bitwie wypędzi te maskary, obrażające ludzkie oczy.

A był w wojsku królewskim świętobliwy mąż

IMIENIEM Krystyn. Jechał za szeregami, odziany w grubą włosiennicę, żywiąc się leśnymi jagodami, gdyż chleb uważał za specjał, którego codzień tykać się nie godzi.

Niedawno wrócił z Rzymu a przejęty prawdą bożą, nawoływał do cnót i dbał, aby rycerstwo nie zaniedbywało nabożeństw.

Krystyn nie czuł wstrętu do towarzyszy Boruty i począł ich rozpytywać, skąd przybywają, jak chwałą Boga i dlaczego trwają przy swym panu, który gorszy jest od szatana, bo pod gładkiem licem i ujmującą powierzchownością tai najstraszliwsze zbrodnie, jakie zna ziemia.

Hołota wybuchala raz po raz śmiechem, słysząc napomnienia, a gdy Krystyn coraz zapalczywiej nawoływał, wręcz mu odpowiedzieli sprzymierzeńcy szatana:

— Milcz, byś głowę miał całą!

Lecz świętobliwy mąż nalegał coraz bardziej, klnąc zatraceniem sługi Boruty.

A gdy tak kazał, wystąpił pewnego dnia jeden z hołoty i wyrzekł:

— *TRZECI* dzień głodujemy, idąc przez bagna i ostępy.

I kto wie, czy jutro jeszcze włożymy co do ust, bo nigdzie nie widać osady, gdziebyśmy dostali chleba i mięsa.

Ledwie to wypowiedzieli, wyłoniła się z głębi boru ogromna polana, pełna różnego zwierza, a najlichszy nawet pachół mógł upolować sarniaka lub jelenia, taka była tego obfitość.

Djabelscy przyjaciele nie mogli wyjść ze zdumienia, a Boruta zaciskał pięści i rozgryzał do krwi wargi, widząc, iż mnich coraz gorliwiej nastaje na jego zgubę.

Upatrzył więc najdzikszego z pośród swoich i rzekł mu:

— *Ubij pałą tego szczekacza, a wzamian za to dostaniesz najmłodszą mniszkę, którą utworzymy wróciwszy z wojny do domu.*

Potwór, zadowolony z obietnicy, poszedł spełnić rozkazanie, zabrawszy z sobą towarzyszy, aby uradowali się widokiem krwi świętobliwej. Słońce zapadło już za bór, a ogrom-

NA CZERWIEŃ księżycą rozlała się po obłokach.

Krystyn, po załatwieniu dziennych spraw, po-grążył się w modlitwie, a nad jego czołem rozpostarła się jasność równa tarczy miesięcznej, tylko jeszcze promienistsza.

Zbiry podeszli, niezauważeni przez świętego męża, a trzech z nich odrazu spuściło krzemieniami nabitą maczugę na głowę Krystyna.

Ani uczuł uderzenia i dalej odmawiał pacierze. Poraz drugi, trzeci i czwarty rąbnęli zbóje maczugami, lecz święty człowiek ani się zachwiał i jakby osłoniiony niewidzialnym puklerzem, wciąż trwał w zamyśleniu.

— *Cud, dziw!* — zawołał największy zbrodniarz i runął do nóg świętego, błagając go o łaskę, a po nim padli inni i wyznawali swe winy, wyrzekając się na zawsze pana, któremu dotąd służyli.

Skoro to ujrzał Boruta, nie czekał już ani chwili i jeszcze tej nocy wyrwał się z obozu, pędząc na Kujawy, gdzie spodziewał się ze-

BRAĆ NOWĄ gromadę, aby dalej prowadzić dzieło zniszczenia.

Po raz pierwszy poznał swą niemoc i bódt konia, złorzecząc djabłom, iż go opuścili i pozwolili zatracić wybrany huf, któremu nikt nie śmiał stawić czoła.

Lecz czarty, choćby chciały, nie sprawić nie mogły, gdyż nad Krystynem czuwała ręka boża.

Tem większa więc złość targła Borutą, a gdziekolwiek na drodze ujrzał Krzyż, obalał go na ziemię i jak burza pędził przed siebie, spozierając, co by zniszczyć wypadło.

A gdy cwałował wedle Łęczycy, złość jego doszła w obłąkańcze zaślepienie.

Nie tak dawno, jak opuścił tę ziemię, a już wzniesiono mury kościoła i niedługo miała w nim rozbrzmiewać chwała Najwyższego.

Koń Boruty padł z wielkiego znużenia, a w obłąkanym jeźdźcu wezbrała taka siła, jakiej dotąd nie zaznał. Zdało mu się, iż skały podnosić będzie z podnóża, a stuletnie dęby złamać w palcach, jak gałązki leszczyny.

KREW zalewała mu oczy, a serce wzdęło się w piersi, niby miechy.

Boruta doskoczył do nowowzniesionych murów, chwycił je oburącz i naprężywszy wszystkie siły, zatargał.

Chybnęła się budowla w posadach, ale ani kamuszek nie usunął się z miejsca.

Szaleniec nedał za wygraną, lecz zaparł się nogami w piasek, na usta spłynęła mu piana, a z oczu krew zdała się buchnąć za chwilę.

Zatrzęsły się mury i od fundamentów pod wierzch pękła ściana budowli.

Naraz zaciemniło się niebo i grom trząsł, godząc Borutę, w samo serce.

Rozłożył ręce i padł nawznak bez ducha.

Żałował *Lucyfer*, iż tak prędko rozstał się Boruta ze światem.

Wiele bowiem obiecywał sobie po nim, a owóż nadzieje spełzły na niczem.

BÓG chciał, aby Boruta nie żył, a śmierć jego była odstrasającym przykładem dla wszystkich wieków.

Z ulgą odetchnęli studzy boscy i pobożni chrześcijanie, albowiem nie zagrażał im wróg-niszczyciel, dla którego nie było nic świętego.

Zbrodniarza pochowano byle jak, natomiast *Lucyfer* sprawił mu dostojne przyjęcie w piekle.

U wrót otchłani czarty sprezentowały halabardy, a wszystkie djabły wystąpiły z odznakami swych urzędów.

Więc jedni nieśli noże ogromne do krajania grzeszników, inni dźwigali miotły ogniste, które mi smagali potępieńców, byli oprawcy z pętłami i harpunami, obrzydliwe djablice wyostrzyły pazury, przeznaczone do targania obmówców i niewierne kochanki, a sam *Lucyfer* wystąpił w czerwonym płaszczu z ognistej purpury, u stóp zaś jego postępował ohydny smok, ziejący siarką. Księżę ciemności ucałował Borutę w czoło, na którym wystąpiła natychmiast krwawa plama, znamię piekielnej władzy.

W *PALENISKA* sypano góry smolnych szczap, a okrutny ogień oświecił wnętrze otchłani, w chwili, gdy wstępował do niej Boruta.

Nowego przybysza posadzono do stołu biesiadnego, a *Lucyfer*, wychylając kielich djabelskiego nektaru w ręce swego sprzymierzeńca, przemówił w te słowa:

— Z dzieł swych zdasz potem obrachunek i sprawiedliwość będzie ci wymierzona w dzień Sądu Ostatecznego.

Tymczasem wróć na ziemię i obejmij polską ziemię w władztwo!

Będiesz moim wojewodą!

Choć piekielny nektar palił niezdolnie trzewia Boruty, nienawykłego jeszcze do takiego rarytasu, skłonił się jednak przystojnie i przyjął ofiarowaną mu buławę.

Lucyfer zaś prawił dalej:

— Na twą stolicę przeznaczam Łęczycę, miasto piękne i warowne. Spotkała cię w niem śmierć, więc słuszną jest rzeczą, abyś tam panował. Buduj pałac, panie wojewodo, i rządz ku chwale piekła!

PRZY świcie wichury i w mroku mgieł jesien-
nych wstępował orszak czarci na ziemię. Wiódł
go Boruta na karym rumaku, ubrany w karm-
zyn i złoto.

Koń parskał ogniem, a buława w ręku wojewody
sypała skry, od których gorzały domy i niszczały
wsie.

— Djabeł jedzie! Djabeł jedzie! — wołali, zdję-
ci strachem, ludziska.

Biada nam!

Boruta rozpoczął rządy...

SZELMOSTWO BORUTY

DZIWNIE SAMOTNIE CZUŁ SIĘ WOJEWODA Boruta w nowozbudowanym zamku łęczyskim.

Postanowił przeto wprowadzić w dom małżonkę, któraby dostojnie reprezentowała majestat diabelski i dbała o gospodarstwo.

A było o czem myśleć.

Trzystu piekielnych budowniczych budowało zamek przez trzydzieści lat, gdyż Lucyfer chciał, aby namiestnik jego posiadał tak piękną rezydencję, jakiej niema sam król w Krakowie.

Wprawdzie zamek znajdował się pod ziemią i wązkimi szczelinami zaglądało wewnątrz światło, ale było tam zawsze jasno, jak we dnie, bo przedziwne blaski wydawały ściany, ozdobione najrzadszemi kamieniami, a sufit lśnił jaśniej od złota.

PO TRZYSTU zamkowych komnatach przewalała się sfora hajduków, rozpita i rozleniwiona, bo pan wojewoda wiele miał spraw na głowie i nie mógł zająć się domem.

Zdarzało się nawet, że wdziewał kontusz z dziurami, a brakujące guziki zastępował tykiem i gwoździami, targając szpetnie materję. Kłął więc Boruta i wymyślał na służbę, a raz nawet w przystępie wielkiej złości, wyrzekł do marszałka dworu:

— *Panie Pronobis*, ożeń mnie waszmość, bo na nic sparszywieję między wami!

Nie w smak był marszałkowi taki rozkaz, ale co robić?

Pan chce, sługa musi.

Zaczęły się więc swaty.

Co dnia rajono wojewodzie inną białogłową, ale żadna nie przypadła mu do smaku.

Jedna zbyt silnie pachniała tymianem, ta miała oko w zez, inna znów przegadać mogła stu diabłów, więc nie mógł się zdobyć Boruta na postanowienie.

W LĘCZYCY zaś toczyło się wszystko po staremu, a służba wyrosła ponad głowę pana i tak go obsiadła, że zbrzydził mu własny dom.

Przeto coraz częściej wymykał się Boruta z zamku, przyjmował zaproszenia na uczty i wesela, a nawet trzymał sąsiadom dzieci do chrztu i nie było sejmiku, na którymby nie patronował.

Nie obeszło się przy tej sposobności bez swarów i burd, bo od tego właśnie był djabeł, aby szczerł ludzi na siebie i pobudzał ich do obrazy boskiej. Pewnego dnia usłyszał pan wojewoda, iż wedle Koła mieszka łowczanka Chocieszyńska, osoba wielkiej cnoty.

Przekroczyła już kwiat wieku, lecz i wojewoda nie kraśniał pierwszą młodością, więc para mogła być dobrana i szczęśliwa.

Nie można powiedzieć, aby panna była szpetna. W sam raz dla diabła.

Trochę koścista, ale właśnie Boruta nie lubił pełnych kształtów, głos jej brzmiał, jak tuba strażnicza; cóż jednak głos znaczy, skoro inne zalety stokroć go wynagradzały.

I TAK — twarz jej miała barwę odrapanej ściany, a nos posiadał wygląd bocianiego dzioba i zwieszał się nieomal aż do brody.

Boruta więc myślał:

— Będę miał przynajmniej spokój w domu, bo nikt z piekielnych kompanów nie zamąci mi szczęścia rodzinnego, nawiedzając zbyt często Łęczycę.

Zresztą wątpliwe, czyby co wskórał, łowczankę bowiem stawiano za przykład, godny wiekopomnej chwaty, a w domu jej nikt nie śmiał grzeszyć przeciw dobrym obyczajom.

Panna była nieubłagana i każdy grzech ścigała okrutnie.

Przed kilku właśnie dniami ścięta łeb kogutowi, który, poślubiony uroczyście czubatej kokoszce, przedał się do obcej klatki i zapłonął niedozwolonem uczuciem do białej kury.

Choć sama niezamężna, uznawała jedynie wierne i kochające się małżeństwa i nie było w Górkach ani jednego stworzenia, któreby mogło chodzić samopas lub w zgrai.

WSZYSCY żyli w parach: ludzie, psy, konie, woły i ptactwo domowe, a panna obiecywała nawet pożenić ryby w rzece i wróble na dachach, jakkolwiek zdawała sobie sprawę z trudności tego przedsięwzięcia.

I w tem gospodarstwie jedna tylko panna Wenata stanowiła wyjątek, dzięki swej wstrzemięźliwości wobec mężczyzn, których unikała w obawie przed nieuchronną zdradą, lub czemś nawet gorszem.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu nie pokazał się przeto w Górkach żaden mężczyzna, o którymby powiedzieć można, że zabiega o rękę łowczanki. Podobno zjawił się raz taki zuchwalec, lecz dostał rekuzę, gdyż okazało się, że nietyłe przynęcał go hymen małżeński, ile pszeniczne rozłogi i bór. nietknięty siekierą.

Skoro wojewoda poraz pierwszy ujrzał łowczankę, omal mu serce nie pękło z radości.

Panna Wenata strofowała właśnie służbę harapem, śmigając w prawo i w lewo, po plecach i gdzie się zdarzy, a na łoskot jej głosu drżeli

CHŁOPI-nieulomki, kryjąc się po kątach, lub pilnie chwytając się pracy.

— Takiej żony mi potrzeba — zawołał Boruta — przynajmniej nauczysz rozumu obżartuchów i wdmikuflów, którzy wylegują się po łęczyskich komnatach, drażniąc piekło swem lenistwem.

— Coby pomyślał władca Wschodu lub Zachodu, gdyby zechciał mnie kiedy odwiedzić?

— Jakiby zastał porządek i posłuszeństwo?

— Z wstydu przyszłoby się spalić, iż rozpanoszyła się hołota, oklepuje wojewodę po łopatkach i każdy rozkaz ma za psie poszyście.

— O, cudowne zjawisko, pójdź, niech ujmę cię w ramiona — wołał rozczerwony djabeł i odmińwszy swą postać na zachwycającego młodzieńca, posunął się w koperczaki do łowczanki.

Jaknajgorzej przyjęła zalecanki panna Wenata. Ani gadać chciała z Borutą, a gdy uporeczywie nastawał i coraz przedniejsze wypowiadał słodkości, które mroczą serca zwyczajnych niewiast, huknęła na diabła:

— Czego ci się zachciewa, cherubinku? Zwodzić

CNOTLIWE dziewczęta? Pleść smalone duby, mącić rozum w głowie i odzierać ze sławy? Dam ja ci amory, adonisie!

I wrzeszcząc, aż drżały liście na drzewach, zwoływała psy, drzemiące w budach.

Zmiarkował niebezpieczeństwo djabeł i rad nie rad ratować się musiał ucieczką, a w ślad za nim pędziły srogie brytany, szczwane nawoływaniem łowczanki. Taki despekt rozsrożył Borutę i napoił mu mózg złością.

Chciał wyrwać bór, przyorać pola, spalić dom, a przecherną pannicę męczyć aż do skonania, ale pomyślał, iż w niczem nie poprawi to jego sławy, lecz okryje go nową plamą.

Siadł tedy pod starym dębem, na skraju lasu i począł układać szelmowski plan.

Nie pojmie już okrutnicy za żonę, to jednak, co postanowił, święcie wykona, chyba nie był diabłem, lecz starym durniem.

JAK bardzo gardziła łowczanka mężczyznami, tak gorąco znów miłowała konie.

Jakby nie była panną, lecz starym królewskim dragonem, który po świecie bywał, nie raz i nie dwa stawiał w wojennej potrzebie i wie, co znaczy koń i jak wielkie jest jego szlachectwo.

Chowała więc gniadosze i karosze, siwki podpalane, pstrokacze i bułance, a wszystko dobrej krwi, iżby niejeden mógł się pochwalić, choćby przed samym tureckim paszą.

A łaskawe były, jak kocięta, panieńskie wychowanki. Gdy ujrzały Wenatę, rżały radośnie, wyciągając szyję jeden przez drugiego, aby dotknąć pyskiem swą dobrodziejkę i potaskotać ją chrapami.

A nieraz bywało, iż wyrzywały się z kojców lub paszy i biegły hurmem przed okno łowczanki, a co niecierpliwszy tłukł łbem w szkło, jakby zaglądał do komnaty i dowiadywał się o zdrowie i humor Wenaty.

Skoro zaś pannica wynosiła uzdę z komory, wszystkie koniska naraz podawały pysk do ochł-

STANIA, prześcigując się wzajemnie w ochocie służenia swej pani i widać było, jak jeden drugiemu zazdrości i gniewa się, iż nie jego wybrała na wierzchowca.

Oglądał to zdaleka Boruta i nie mógł wyjść z podziwu, że panna, tak surowa dla mężczyzn, czuła była dla koni.

Gniadosza pogłaskała, siwosza poklepała, a karego ujęła za szyję, niczem dziewczyna kochanka i pocałowała w rozwarte chrapy, które zdawały się uśmiechać z zadowolenia i przyjemności.

— Takaś ty lwica? — mruczał Boruta i zaciskał coraz gniewniej pięści, kalecząc do krwi dłonie.

I już nie wracał tego dnia do Łęczycy, lecz zaszył się w głąb chaszców i przeleżał w nich aż do świtania.

Nazajutrz, ledwie mignął brzask na niebie, wyskoczyła łowczanka z pościeli.

Sny miała tej nocy wielce nieprzyjemne.

Widziała prawie na jawie, iż czarny kogut, ten największy łotr z całego stada, przedarł się do najmłodszych kokoszek i grasował wśród nich,

NIBY zbir nikczemny. Na szczęście sen się nie sprawdził, więc Wenata skierowała swe kroki ku gotębnikowi, aby napaść uszy gruchaniem zakonanych małżonków.

Zaledwie weszła do ogrodu, ostępiała ze zdziwienia. Pod rosochatą jabłonią stał dziwnie piękny wierzechowiec, prawie złocistej maści.

Gryzł wędzidło i przebierał nogami, jak w tańcu. Na widok zaś łowczanki parsknął zdrowo i puścił się do niej w podskokach, to na prawo, to na lewo, wdzięcznie się przeginając.

Wenata stała nieruchomo, jakby oczarowana zjawiskiem i nie pytała nawet, czyj to rumak i skąd przybywa? Dzianet położył łeb na ramieniu panny i zgrabnie się przymilał i rżał zcicha. Okulbaczony był i gotów do drogi.

Wenata zapragnęła się przekonać, czy również szlachetny jest w dosiadanu, jak w wyglądzie i, nie mogąc się oprzeć pokusie, wetknęła nogę w strzemię i wspięła się na siodło.

Koń ruszył lekkim krokiem ku bramie, śmignął jak baletnica i znalazł się poza ogrodzeniem.

DARMO próbowała go nakierować Wenata ku domowi.

Biegł truchtem w pole, coraz większy biorąc impet. Nie pomogła uзда i wędzidło, próżno próbowała łowczanka wstrzymywać oszalałego bieguna, który rwał przed siebie.

Ręce jej mdlały z wysiłku, harap świstał przed oczyma konia, a on gnał, niczem wichur po gładkiej równinie.

Już minął pola i popędził leśną ścieżką, wychybując się przeszkodom, które mu zagraadzały drogę.

Łowczanka opuściła bezradnie cugle i w przeżuciu niebezpieczeństwa polecała duszę Bogu, prosząc raczej o śmierć, niż o uporne kalectwo. Na dźwięk boskiego imienia, koń wstrząsnął grzbietem i stanął, jak wryty, a pannica poprzez jego łeb runęła w mech leśnej podściółki.

Gdy się opamiętała, klęczał przed nią młodzieniec, podobny do cherubina z obrazu.

Oczy błyszczały mu, jak karbunkuly, a szedł od nich żar tak skwarowy i przenikliwy, iż docierał

*DO KRWI i do serca, czyniąc pannę bezwładną
i zwyciężoną.*

A cherubinek szeptał:

*— Wyszczuleś mnie psami i chwycić kaza-
łeś służbie, a owóż dzierzę cię w swej mocy
i nie wypuszczę, choćby do skończenia
świata.*

Dziwnie miłemi wydały się Wenacie te słowa.

*Chciała coś wyrzec, ale głos odmówił jej postu-
szeństwa, natomiast na ustach poczuła ogień po-
całunków.*

Nie miała siły, aby odtrącić zuchwalca.

**

*Południe przeszło, dzień zleciał i noc mijała,
a łowczanka nie mogła się rozstać z młodzień-
cem. Nie gniewała się już, ale prosiła, aby jesz-
cze pozostał i całował, jak całuje i mówił, jak
mówi.*

*Nad ranem dopiero ujął ją na chwilę sen dobrze
zarobiony.*

*GDY SIĘ zbudziła, była sama, a do jej nozdrzy
dolatywał obrzydliwy zapach siarki.*

*Dziwne jakieś głosy huczały za oknami, niby
rzucone nawoływania, w których słyszała najwy-
raźniej swe imię, wymawiane z wielką pieśczo-
tą. Zrywała się, aby spojrzeć, kto tam woła, ale za-
klęcie milkło, a natomiast uszy jej ranił drwiący
śmiech i piekielny chichot, od którego cierpła
skóra.*

*Pełna żalu zamykała oczy i widziała, jakby na
jawie młodzieńca, gdy umykał przez pole, gonio-
ny przez rozwścieczone psy.*

*Pędził wprost do lasu, siadał pod rozłożystym
drzewem i drwił, na palcach wygwizdując.*

*Jeśliby jeszcze raz wrócił i posunął się w koper-
czaki, padłaby mu sama w objęcia.*

**

*Boruta zohydził sobie pannicę i nigdy już nie
ponowił swych zabiegów.*

Gdzieindziej upatrzył młódkę, którą zamierzał

POJAĆ za żonę. Obalamucili go służalce, wiedząc, jak cierpkie byłoby ich życie, gdyby wojewoda wprowadził łowczankę do Łęczycy.

Skończyłoby się nazawsze nikczemne wylegiwanie po salach zamkowych i nastalyby pracowite czasy dla djabłów.

Gdyby jednak wiedział Boruta, jak przychylną mu jest Wenata, pewnieby się wrócił i naprawił swe szaleństwo.

Łęczyckie oczajdusze nie mogą jednak pozbyć się obawy, że pan ich powróci do Wenaty, więc gdy znudzi się im bezcelne próżniactwo, pędzą do Górek, aby obrzydzić niebodze małżeństwo z wojewodą.

Leniwe djabły nie zastanawiają się, że od tej pory upłynęło już kilka wieków, a z panny i z domu niema już śladu.

Choć ziemia pożarła dawno domostwo i łowczankę, dotychczas jeszcze posłyszeć można w świcie zimowego wichru zaklęcia i śmiechy czarć, a wprawne ucho rozróżni najwyraźniej wołanie:

„WE-NA-TO!” a potem przeraźliwy chichot i psów wycie.

W takiej chwili nie sporo człowiekowi wygrzewać się przy piecu w pojedynkę.

WESELE KARZMARKI JAGUNI

WEDLE OLKUSZA, PRZY DRODZE, STA-
ła karczma, a w niej szynkowała piwo i miody
szynkareczka Jagunia.

Młoda była i rumiana, a tak harda i niedostępna,
iż kto ją ujrzał, powiadał:

— Głaz z niej, a nie dziewczyna.

Kilku młodych panoszków zabiegało napróżno
o jej względy, to samo czynili synowie mieszczan
i cechowi mistrze, a nawet kupiec Balcerek za-
pragnął ją pojąć za żonę.

Lecz Jagunia odpalała wszystkich niemilosierdzie,
mówiąc:

— Nie takiego będę miała męża!

I szeptano cicho, iż Jaga pragnie się wydać za
królewicza z Wawelu.

Gościła go raz i poila, gdy zmęczony łowami za-

TRZYMAŁ się w gospodzie na odpoczynek. A królewicz zamiast jednej nocy cały tydzień spędził w oberży, smakując w napitkach i jagusi-nych ustach.

A gdy potem odjechał, zostawiają jej na pamiątkę złoty pierścień, wydało się głupiej dziewczce, iż jest już królowną z Wawelu i postuch się jej należy i wielkie uważanie.

Śmieli się z tego ludzie i pytali:

— Kiedyż, Jagusi, wstąpisz na tron?

A dziewczka zła odpowiadała:

— Czekaście, ale gdy się to stanie, pozazdrościcie mi wszyscy.

I wypatrywała dziewczyna oczy, czy na krakowskim trakcie nie ukaże się wawelski królewicz, aby ją poślubić. Patrzyła jeden miesiąc, drugi, czekała od zimy do lata.

Daremnie!

A gdy zagwizdały wiatry styczniowe i ciemne noce rozłożyły się po świecie, cierpliwość jej przebrała miarę.

Siostry zaś szydziły:

— *CHCIAŁYBYŚMY* potańczyć w dniu twych imienin na lustrzanej sali, a tu już jutro świętej Agnieszki, kawaler zaś dotąd nie przyjechał.

— Drużkami mi będziecie, a gdy się nie wydam za królewicza, djabłu przysięgnę wierność i zostanę jego żoną!

I ledwie wyrzekła te słowa, zadudniało na gościńcu i ukladny młodzieniec wszedł do izby.

Struchlało serce w Bańce i w Marynie, precz uciekły, zostawiając siostrę sam na sam z przybyszem.

— W swaty przyjechałem, mościa panno, jestem postem jaśnie oświeconego wojewody Boruty.

— Zamało mi województwa i mogąc być królowną, nie chcę zostać wojewodziną — odpowiada dziewczyna. — Jeśli wyswatasz mnie za Lucyfera, godzę się na zamężcie.

Markotno było wracać postowi z rekuzą, więc ją tłumaczyć, jakie ją czekają zbytki i w jakim pałacu będzie panią:

Na wysokiej górze,

W fioletowej chmurze,

*STOI zamek wielki,
Dach ma pozłacany,
I ze srebra ściany,
A z bursztynów belki.*

*Lucyfer — król, najmocniejszy z wszystkich
cesarzy, panuje nad księżycem i planetami
i w każdym kraju i na każdej gwiazdzie ma swego
namiestnika.*

*Niektóre światy już mu uległy i zapchane są po
brzegi jego poddanymi, a w wielu krajach możne
jego władztwo.*

*Tylko w Polsce idzie diabłowi kulawo, więc kryć
się musi po gąszczach i wertepach aby stamtąd
napadać na ludzi jak rzezimieszek.*

*Ale napewno będzie inaczej, gdy Boruta się oże-
ni i ustatkuje.*

*Szaławiła jest bowiem i hulaka, aż strach pomy-
śleć, jaki z niego lichy namiestnik. Nie posyła
żadnych dusz do piekła, kościoły się w Polsce
mnożą, cnotliwych coraz więcej przybywa i dja-
bły nie mają żadnej pociechy z Polaków.*

Więc Lucyfer postanowił ożenić Borutę, aby się

*USTATKOWAŁ i dostawszy babę, myślał wię-
cej o urzędzie niż o hulankach.*

*Tak wymownie prawił posel, pobrzękując kiesą
ognistych dukatów, iż zmiękło na poły serce Ja-
guni, a gdy wysypał sznur koralu, płonących jak
jarzębiny, sięgła po nie dziewczyna.*

*Lecz korale rozwiały się w mgłę za dotknięciem
jej ręki, a posel, czytając z oczu dziewczyny pra-
gnienie posiadania bogactw, wyrzekł uśmiech-
nięty:*

Hola, mości panno,

Wolne takie żarty,

Nie dają podarków

Darmo, nawet czarty.

*— Więc powiedz panu twemu, iż go czekam,
i niech mnie bierze — wybelkotata na pół przy-
tomna szynkareczka.*

**

*Rozparł się Boruta w kolasię, strojny w jedwa-
bny żupan i rysy kołpak.*

CZTERY karosze śmigają poprzez pola.
Miotają z pyska ognistą parę, a z bicia strzela
Kusy, wierny pacholik wojewody.
Pysk ma nieco szpetny, więc nasunął na twarz
wilezurę, wymachuje nogami cienkimi jak ba-
dyle i przyśpiewuje ucieszenie:

Jedzie djabeł, jedzie,
Na swoje wesele,
Kontusz ma jedwabny,
Złotą karabelę.

Hop! To koło zawadziło o granicę, aż jęknął re-
sor a Kusy podskoczył na trzy łokcie w górę.
Zaśmiał się i nucił dalej.

Weźmie sobie pannę,
O ślicznej gębusi,
Szkoda, że ją w smole,
Zaraz skąpać musi.

Deń! To karoca nachyliła się w prawo, aż gibnął
się Boruta, a Kusy zarył nosem w błocie.
Otarł pysk rękawem i śpiewał znowu:

NA NOCKĘ jej nigdy,
Od siebie nie puści,
Ale na dzień zamknie,
W piekielnej czeluści.

Zit! To pojazd śmignął przez rzekę, nurzając
w wodzie Kusego, który nie zauważył przesko-
dy, składając piosenki.

Parsknął pacholik z chłodu i przerażenia, pod-
ciął karosze i stanął przed karczmą.

Co to było za wesele?

Trzysta białych kaczorów, trzysta czarnych ko-
gutów, trzysta cieląt i trzysta baranów zabito na
uczcie weselną.

Stado wołów i wieprzów padło pod nożami rze-
źników, a pijatyka była tak straszna, iż sam Lu-
cyfer spadł pod stół, a djabliska potraciły rozu-
my z opilstwa i obżarstwa.

Tej pamiętnej nocy nie zabił żaden człowiek
na bezdroże, nikogo nie przeraził rehot diabli
w pustkowiu i cicho było i spokojnie na świecie.

TYLKO na Łysej Górze trwały hałasy i trzęsła się ziemia od muzyki i łomotu czartowskich kopyt.

A gdy djabły posnęły, przysunął się pan młody do Jaguni i przemówił najdelikatniejszym głosem:

— Jaguś, możebyś chciała odpocząć? Tam wedle czeka na nasze przybycie ustrojona komnata.

A szynkarka spoglądnęła zimno na męża i odrzekła:

Nie chce mi się spać!

— Jaguniu, serce moje, radbym cię pocałować — szeptał czule Boruta, pochylając się nad małżonką.

I byłby ją mlasnął w same usta, lecz odtrąciła go Jagunia, spluwając z obrzydzeniem, gdyż przypomniała sobie pocałunki królewicza.

Zachnął się piekielny wojewoda i chwycił ją w pól, chcąc siłą zmusić do całowania.

Odkoczyła i okręciwszy się na pięcie rzekła:

— Nie chcę!

Więc djabeł w perswazje, nuż obiecywać, nakła-

NIAĆ, grozić, zachęcać a Jagunia ciągle powtarzała z uporem:

— Nie chcę!

Rozeźlił się strasznie Boruta, gdyż żadna dotąd dziewczka nie stawiała mu takiego oporu i huknął, aż zagrzmiało:

— Musisz być posłuszna!

— Nie chcę — odpowiedziała Jagunia.

I już świt dobrze wyjrzał na niebo, a nowożeńcy certolili się jeszcze bez ustanku.

A gdy jasne weszło słońce, djabły w śmiech. Tłukę się ogonami po bokach i wyją z radości, że Boruta tak pokpił sprawę z dziewczką.

I dalej w kpiny z swego brata, aż go wstyd jął, zawołał Kusego i cichcem wyjechał do Łęczycy, zostawiając gości i żonę.

**

A djabły w radę.

Co zrobić z Jagą, czy wypędzić ją do karczmy, skąd przyszła, czy porwać żywcem do piekła

*I USMARZYĆ w smole, czy też pozostawić na
Łysej Górze?*

*Zabierali głos najmędrsi i najuczciwsi w piśmie
doktorzy i kauzyperdy i uchwalili:*

*— Niema rady. Jagunia jest małżonką Boruty,
więc nie należy jej ani wypędzać, ani też wtrącać
do piekła.*

*Należą się jej honory i względy przystojne mał-
żonce wysokiego dostojnika.*

*Niech przeto pozostanie, gdzie jest, sześciu pa-
cholików trzeba jej dać do posługi i otoczyć
fracymierem, aby nie robić piekłu wstydu.*

Może się wreszcie namyśli i zaniecha fochów.

Wojewodziną jest i basta!

*Często przypomina sobie Boruta, że ma na Łysej
Górze małżonkę i próbuje zalotów.*

*Dawniej, gdy był młodszym, raz wraz zjawiał się
pod Łysą Górą i wzdychał, płakał, zaklinał, tłukł
tłem o glazy, ale zawsze odchodził z niczem.*

*A TERAZ, gdy postarzał się, raz w rok, w rocz-
nicę swego wesela, która przypada w imieniny
Jaguni, śmiga karocą do swej żony w nadziei, iż
ją ucałuje i przyhołubi.*

*Pędzi pojazd na przelaj po polach i drogach
a Kusy trzaska z bicia i pośpiewuje żałośnie:*

— Kłopotu miał djabeł mało,

Nigdy nie bolał go łeb,

Żony mu naraz się chciało

I z czarta zrobił się kiep,

O jej...

*A djabelski jęk słyszają ludzie i wcale im się ser-
ce nie kraje, lecz mówią:*

— Dobrze mu tak!

PAN PUŁKOWNIK ROGALIŃSKI

*PO PRZEGRANEJ WOJNIE Z PANEM BO-
giem okrutnie mścił się Lucyfer na djabłach.*

*Klęskę swą przypisywał ich tchórzostwu, a nie
woli bożej, które jest mocniejsza od wszystkich
czartów razem. Przedewszystkiem zaś miał Lucy-
fer wielką złość do Rogalińskiego, który dowodził
jazdą piekielną w pamiętnym dniu rozprawy.*

*Wprawdzie nie mógł zarzucić księżu ciemności
swemu pułkownikowi braku odwagi, bo Rogaliń-
ski wyszedł z tej opresji mocno pokłuty i posie-
kany, ale wymyślał najróżniejsze zarzuty, zwy-
czajnie jak to bywa po nieudatym dziele.*

Tłumaczył się Rogaliński jak mógł.

*Udowadniał, że zawiodła go piechota piekielna,
to znów, że niedość celnie prażyli ogniem kano-
nierzy djabełscy, ale to niewiele pomogło.*

GDY bowiem wspomniał *Lucyfer*, że bliski już był zwycięstwa, a poniósł sromotną klęskę, piecił się do nieprzytomności i zwał swych oficerów partaczami.

Belzebubowi odebrał dowództwo nad piechotą, *Arazielowi* zdart szlify jeneralskie, *Rogaliński* go zaś pozbarwił pułkownikowskiej buławy, a na miejsce jego zamianował utana *Lejbę*, który odznaczył się w pewnej bitwie na ziemi, ale jako człowiek niechrzczony musiał koniecznie smarzyć się w piekle.

Despektu tego nie mógł przeboleć *Rogaliński*, poprosił więc, aby go zwolniono z piekła i pozwolono pokutować na ziemi.

W cichości serca myślał bowiem:

Pokażę *Lucyferowi*, co znaczy dobra komenda. Usłyszysz jeszcze nieraz imię moje i ciężko zaboleje nad stratą takiego oficera.

Lucyfer podpisał pazurem abszyt, aż do skończenia świata, a pułkownik zeszedł spokojnie na ziemię, aby przystać na służbę do jakiegoś wojska. Trafiło mu się kilka korzystnych miejsc, ale

BYŁY one nie po jego chęci. *Ojciec święty* zbierał wielkie zastępy żołnierzy do walki z heretykami, więc *Rogaliński* mógł byłby się tam snadnie wcisnąć, lecz pomyślał:

— Nie wypada mi odrazu zapisywać się do wojska papieskiego.

Nie wywietrzył jeszcze ze mnie zapach siarki piekielnej, więc możeby poznali skąd przychodzę.

Odłożę to sobie na później, a tymczasem zwrócę się w inną stronę.

Właśnie król pruski wyprawiał się na wielką wojnę z *Francuzami*.

Rogaliński zameldował się u niego i pokazał abszyt z piekła.

— Brawo, znakomicie, zawołał król, powiedz mi tylko, czy znasz naszą komendę?

— Jakbym nie miał znać najjaśniejszy panie — odpowiedział djabeł — skoro w *Prusach* i w piekle komenderują jednakowo.

I jak ryknął: *Marsz, marsz, a potem halt* — tak król uśmiechnął się radośnie i rzekł:

— Zmień tylko nazwisko, bo uraża moje uszy,

BĘDZIESZ u mnie kapralem! — Co miał robić Rogaliński?

Czy z tem, czy z innem nazwiskiem zawsze można zejść wysoko, a kapral to nie gemeiner, poważanie u ludzi ma, dosłużyć się może marszałka, a nawet zostać cesarzem, do czego okazywał djabeł szczególną ochotę.

Nazwał się więc Kipfel i wstąpił do grenadierów.

Wielką mieli pociechę z nowego kaprała.

Gdy maszerował, aż dudniała pod nim ziemia, a w całym pułku nikt się tak nie prężył na baczność i nie umiał prezentować broni, tak ostro, równo i z rozmachem.

Wiadomo, że czarci rozumniejsi są nietylko od gemeinerów, ale nawet od wszystkich kaprałów, więc, gdzie kto mógł poradzić, posyłano Kipfla.

Najgłupszych rekrutów zmieniał w ciągu dnia w doskonałych grenadierów, świetnie mieszał sznaps z prochem i korzeniami, po mistrzowski fiksował wąsy, iż sterczały, jak druty i nie było

WOGÓLE sprawy, na którejby się nie znał i nie potrafił jej wykonać.

Szanowano przeto kaprała i nikt mu nie sobaczył.

Pewnego dnia pomaszerował Kipfel na wartę przed pałac królewski.

Djabeł zawzięty był strasznie na służbę, więc kapitan spał ten nocy spokojnie, gdyż wiedział, że Kipfel dobrze się sprawi i dopilnuje gemeinerów. Obchodzi tedy kapral posterunki, naraz straszliwy krzyk obija się o jego uszy:

— Ratunku, najjaśniejsza pani wpadła w mdłości!

Dworzanie stracili głowę, a sam król zawołał zrozpaczony:

— Pomóżcie, kto może!

— Wedle rozkazu, — wrzasnął djabeł i wpadł do sypialni królowej.

Zaledwie przekroczył próg komnaty, przybył na świat następca tronu.

Kipfel włożył go w kotyskę, a gdy nadbiegli medycy, było już po wszystkim. Mogli tylko spr-

WDZIĆ, iż stan zdrowia matki jest zadowalający, a książę zdrów i będzie się chował.

Na złość profesorom twierdziła królowa, że od niechybnej śmierci wybawił ją kapral grenadierów, przeto winien nosić tytuł nadwornego akuszerza.

Król, kierując się wolą żony, polecił wypisać Kipflowi odpowiedni dyplom i wśród bicia bębnów i grania tręb wręczono kapralowi nominację królewską.

Nie o takich jednak zaszczytach myślał djabeł, przeto czempredzej uciekł z Prus, bo nie mógł się opędzić kobietom, wzywającym jego pomocy.

Wędrując po świecie, dowiedział się, że pewien generał czeski poszukuje do swej armji żołnierzy. Bardzo to ucieszyło djabła i zgłosił się do wojska.

Kazano mu zmienić nazwisko, bo Kipfel brzmiało dla czeskich uszu nieprzyjemnie, więc czart przezwiał się Rohlik i odrazu otrzymał stopień oficerski.

Cała jednak była z tem bieda, że żołnierze nie

CHCIELI się zgłaszać do szeregów. Używano więc forteli, aby zwerbować ochotników, a porucznik Rohlik prześcigał innych w pomysłowości.

Jedni oficerzy kazali szyć dla żołnierzy piękne, czerwone spodnie, drudzy ubierali ich w kapelusze ze wspaniałymi pióropuszcami; byli tacy, którzy wysyłali mówców gadających od rana do nocy o koniecznej wojnie z nieprzyjacielem, a djabeł kazał zatoczyć beki piwa i wynajął kapelę, aby grała jaknajpiękniej.

Sam wybijał takt paleczką, a ludzie nie mogli się oprzeć muzyce.

I nietylko młodzi junacy, lecz także starzy weterani, którzy na wylot znali przyjemności wojaczki, przystępowali do stołu i zgłaszali się do pułku. A kobiety nie wstrzymywały ich od tego szalonego przedsięwzięcia, rozumiejąc, iż dla takiej muzyki warto nawet dać się zastrzelić.

I gdy inni oficerzy zwerbowali jednego rekruta, djabeł miał ich sto i migiem postawił pułk na nogi.

OCZYWISTA, iż chciał być pułkownikiem, lecz generał był innego zdania:

— Zwerbowałś jeden pułk, werbuj teraz drugi, a gdy zwerbujesz dziesięć, zamianuję cię naczelnym kapelmistrzem mej armji i dam wyłączone prawo szynkowania piwa w mem wojsku.

Inny na miejscu djabła byłby zadowolony z tej obietnicy, która mogła uczynić człowieka bogatym, choćby nawet warzył czysty jęczmień i mieszał go z prawdziwym chmielem.

Nadziwić się więc nie mogli ludzie, że Rohlik srodze się obraził na generała i wręcz oświadczył, że opuszcza jego wojsko, bo nie chce być szynkarzem, ani muzykantem.

Właśnie w Polsce ogłoszono pospolite ruszenie. Rogaliński wrócił do dawnego nazwiska i co tohu zdążył do Warszawy, aby przybyć jaknajszybciej i okazać w ten sposób swą gorliwość.

W głowie zaś ważył tajdacki plan.

To, co nie udało mu się z królem i generałem, napewno się uda z bracią szlachtą.

Wmieszał się więc w tłum, spieszący na rozkaz

KRÓLEWSKI i począł wypyttywać o dowódców i hetmana, nie żałując im przycinków i wyzwisk.

— Mówicie, że jegomość Łaszcz dowodzić będzie pancerną chorągwią królewską?

Dobry wódz, tylko niedowidzi i sam słyszałem, jak radził się medyka z Holandji, co ma robić, aby mu się w oczach nie troiło.

Pod rozkazami takiego pułkownika nie chciałbym nastawiać karku, dlatego wolę wybrać inną chorągiew.

Lecz do jakiej się zapisać?

— Bożenta podobno rycerz nienaganny...

Bogać tam, stryjec jego zbisurmanił się i jest paszą tureckim.

Wiem dobrze, że synowca chce przyciągnąć na swą stronę i obiecuje mu sto najśliczniejszych odalisek, byleby przeszedł do sułtana i dopomógł mu do zwycięstwa.

Bożenta strasznie łasy na kobiety, więc niewiadamo co zrobi — wolalbym innego dowódcę.

— A co powiadacie o starym Orzejce?

— *ROZUM* mu już wysechł ze starości — odpowiedział djabeł — sługus daje mu codzień wilgotny plaster na głowę, ale to niewiele pomaga.

Nim dojechali do Warszawy, huczało już w całym wojsku niezadowolenie i coraz jawniej wykrzykiwano:

— Rogaliński naszym wybawcą, on nas powiedzie na Turka i nie da zniszczyć narodowi szlachectwu!

Najgłośniej zaś gardłował za djabłem pan Szeliga z Orońska, otrzymawszy wprzód obietnicę znacznego urzędu, jako że mocno podupadł na majątku z powodu procesów i łapczywości na jado i napitek.

Trzymał się więc djabła i był mu dobrym towarzyszem.

Rozzuchwalony zaś czart poczynął coraz zuchwalej.

Rozpuścił gębę jak kołowrót, jednego wychwalał, drugiemu współczuł, a innych łudził obietnicami, schlebając wszystkim.

Aż dnia pewnego, gdy tłumaczył Rogaliński ko-

RZYSCI, jakie wynikną z jego wyboru na hetmana, wysunął się pan Klemens Jędrzejewski, chudzina, ale mocny w języku i huknął djabłowi nad uchem:

— Łezesz sobako!

Poczerwienił Rogaliński jak burak i chwycił za szablę, aby nauczyć rozumu zuchwalca, a pan Klemens mył za plecy panów braci, z natury był bowiem łagodny i nie chciał krwi rozlewu.

Djabeł zaś, myśląc, że chudzina tchórzy, tem goręcej napierał się do walki, wołając na głos cały:

— Uszy obetnę, nos odrąbię, pysk naznaczę, brzuch rozplątam! — Stawaj waszeć, bo utłukę pięścią jak pachotka.

Pan Klemens westchnął pobożnie do swego patrona i powoławszy się na świadectwo panów braci, iż pod przymusem tylko idzie na metę, wyciągnął szerpentynę i błysnął nią przed oczyma djabła.

Co Rogaliński śmignie, pan Klemens odeprzeć i wymówi imię opiekuna, któremu się w tej chwili polecił.

GDY WEZWAE pomocy Józefa z Kupertynu, czuł jak osłabł rozpęd szabli djabelskiej, przy Nazarym biskupie zwinęło się ostrze szatańskie, gdy zaś wymówił imię Romana żołnierza, Rogaliński odstąpił pysk, a Jędrzejewski ciął na odlew pierwszą raz i drugi od czoła, aż po brodę. Djabeł runął na ziemię, dusząc się własną posoką.

W Orońsku, u przyjaciela Szeligi, lizał się Rogaliński z ran, pomstując na przypadek, który mu wytrącił z ręki buławę hetmańską.

Obiecywał sobie jednak odzyskać utraconą sławę i odemścić swą krzywdę na panu Jędrzejewskim. Szeliga nie tracił również nadziei.

Nie udało się teraz uzyskać urzędu, uda się po raz wtóry, grunt, aby poczekać na okazję i w porę zabrać się do rzeczy.

W Polsce nie należy rozpaczać, zawsze się znajdzie pocieszenie!

Tylko, że we dwóch było im niewesoło, a bali się powiększać kompanję, nie ufając nikomu,

PÓŁ biedy jeszcze w lecie.

Skoro zaś nastały chłapy jesienne, nawiedzał ich ponury smutek.

Sączyli kufle ciepłego piwa, a gdy trunek ogrzał im głowy, krajali się bezlitośnie językami, a nie raz nawet chwyтали za obuchy, tak, że zwaśnionych musieli rozdzielać domownicy. A wszystko dlatego, iż bawili się wspomnieniami dobrych czasów, a teraźniejszość wydała się im gorsza od przeszłości.

Rok już minął i drugi dobiegł do połowy, a okazja jeszcze nie nadeszła, aby ponowić starania o hetmaństwo.

Pewnego grudniowego wieczora rozeźlił się Rogaliński więcej niż kiedykolwiek.

Palnął ręką w stół i wyrzekł:

— Panie Szeligo, dość tej mitręgi, niczego dobrego się tu nie doczekamy.

Cóż z tego, że każdej niedzieli wypędzam twą służbę do kościoła, że namówilem cię do wielkaj nocnej spowiedzi i kilku dobrych uczynków, książę ciemności nie zwrócił nawet uwagi na te

DROBNOSTKI i ani razu nie zasepił się z tego powodu.

— Stary już jesteś, ledwie się trzymasz na nogach i niedługie twe życie.

— Od gorzkiego piwa i flaków z imbirem już oblażł mi język, a niebawem i to się skończy, więc muszę cię opuścić.

A gdy tak mówił djabeł, tzy mu napływały do oczu i kapały na posadzkę, zostawiając niezmyte plamy, z gardzieli zaś wydobywał się tak żalospny jęk, iż psy wyły z przerażenia.

— Gdybyż choć wolno mi było robić pieniądze, albo wygrzebywać skarby, zakopane w ziemi, — mówił Rogaliński, jeszczebym wytrzymał; ale tego właśnie zabronił mi *Lucyfer* i solenne odebrał przyrzeczenie, iż własnym przemysłem zarobię na sobie.

— Dłużej już cię nie mogę objadać i dzisiaj jeszcze ruszam w świat.

* * *

PRZYKRE było rozstanie przyjaciół.

Ucałowali się z dubeltówki i przyrzekli nie zapominać o sobie. Djabeł, podpierając się kijkiem, znikł za grabową aleją.

Wiele wojsk przewaliło się przez Polskę, a Rogaliński próżno szukał okazji, aby uzyskać buławę.

Namawiał, prosił, obiecywał, śmiano mu się w twarz, ukazując odtępiany nos i szramę na policzku.

Więc okrutną złością zapalał djabeł do sprawcy swych nieszczęść i postanowił go odszukać, choćby miał uchodzić nogi.

Bywał na jarmarkach i odpustach, i wszędzie pytał:

— Widzieliście, gdzie chudziarę Jędrzejewskiego, bo mam z nim porachunek?...

A ludzie odpowiadali:

— Nie z naszej okolicy, więc nic o nim nie możemy powiedzieć.

Aż wedle Brwilna natknął się djabeł na bałagutę, który go naprowadził na dobry ślad.

IDĄC wskazanym tropem, napotkał pana Klemensa, wychodzącego wraz ze swą małżonką z kościoła.

Rogaliński cofnął się za węgier domu i pomyślał:

— Teraz mu nie dam rady, bo umoczył rękę w święconej wodzie, ale poczekam do najbliższej sposobności.

I diabeł dotychczas czeka.

Żle mu się wiedzie i często znosi biedę.

Jakiś czas ogrywał szlachtę i kupców w karty, ale rychło nauczyli się szulerzy sztuczek djabelskich i zabrali czartowi ostatni szeląg z kiesy, potem został adwokatem i forytował w sądach sprawy, lecz wkrótce kazyperdy prześcignęli mistrza i zapędzili go w kozi róg.

Rogalińskiego nie opuszcza jednak fantazja i wierzy, że zostanie hetmanem, choćby nawet nie rozliczył się z panem Jędrzejewskim.

Musi bowiem pokazać Lucyferowi, jak się prowadzi jazdę — musi.

W TYM celu zeszedł przecież na ziemię i znosi niewygody, wyśmiany jest i okaleczony.

Taka zawrzała w diable zawziętość na Lucyfera, iż gotów był nawet darować krzywdę chudziarze, który go szpetnie naznaczył na pysku i odrąbał kawałek nosa, byleby mu dopomógł do uzyskania komendy.

Lecz pan Klemens ani myśli o tem.

Żyje w zgodzie z Bogiem Wszechmogącym, o diabła nie dba, lecz na wszelki przypadek nosi u boku poświęconą szerpentynę.

Nie tyle z obawy, ile z przeczności.

DJABLA PARAFJA

Żywoty 7

*ZEBRAŁY SIĘ DJABŁY W NIEPUSTOW-
skim młynie i radzą:*

*— Co do licha, od roku ani jednej polskiej du-
szy nie pożarło piekło i jak tak dalej będzie,
przyjdzie spakować manatki i fora ze dwora.*

*Lucyfer nie żartuje, a nieraz już mawiał, że pol-
skie djabły ciemięgi i niemrawce, bo nie umieją
sobie zjednać powagi wśród ludzi i zamiast kró-
lować w pałacach, mieszkają w psich budach i li-
sich norach. Łatwo to mówić, lecz w Polsce do
człowieka ani dostąp.*

*Zwęszy djabła na mil dziesięć, zeklnie i prze-
goni, jeśli nie kropidłem, to świętem słowem, od
którego cierpną czarty i dostają mdłości.*

*Jeszcze tu i tam zdarzyło się dawniej ułowić ja-
kąś duszyczkę.*

GŁUPIA była, bo głupia, ale w piekle nikt o mądrość nie pyta, gdyż dość jest tam djabełskich rozumów.

Ostatnia była zezowata Ewka.

Gębę miała posiekaną ospą, a zachciało się jej chłopaka, jak świeca.

Czemu nie?

Przystużyli się jej diabli, dobrze przystużyli, dziury na gębie załatali, oko wyprostowali, sukienek dostarczyli, a potem za łeb i do smoty.

Siedzi już w niej, wmurzana, aż po dziurki w nosie i przeklina swą grzeszną żądzę.

Ale od czasu złowienia Ewki, jakby się zacięło. Choć czarty trudziły się do krwawego potu i biegły z wywieszonymi ozorami, nikogo złapać nie mogły, któryby miał ochotę smażyć się w kotle. Nawet złodziej Walek, który od roku siedzi w wieży, okuty łańcuchami i niebawem zawisnąć na haku, nie dał się skusić.

Przyszedł do niego sam Pronobis i powiada:

— Panie Walenty, przyrzeknij, że nigdy nie będziesz żałował za grzechy, ani nie zapragniesz

KSIEDZA przy skonaniu, a zrobimy cię najszczęśliwszym człowiekiem. Odzyskasz zaraz wolność, dostaniesz wór pieniędzy i sto morgów pszennej ziemi.

A ten obwieś nietylko, że nie przyjął ofiary, ale szpetnie zwymyślał posła i kazał mu wynosić się czempredzej.

Takie to nastały dla piekła czasy.

Zebrały się więc diabły we młynie, pozasiadały na workach w pobliżu wielkiego kamienia, zaczęły bulki i szwargocą.

Naraz Rzechoń, diabeł bardzo stateczny i wypróbowany w wielu radach, powiada:

— Wszystkiemu winni gorzelnicy. Warzą teraz tak podłą wódkę, iż nawet diabłom trudno ją przepuścić przez gardło.

Jeśli czarci w niej nie smakują, jakżeż rozpijać się mogą ludzie, wybredniejsi od diabłów?

— Asan wszystko mierzysz szklanką i kieliszkiem — zawołał kamrat Lubicz.

Istotna przyczyna naszego niepowodzenia spoczywa w drożyznie.

CZYŻ człowiek może łamać posty i obżerać się, skoro na suchy chleb mu nie starcza, a coś dopiero na tłusty poleć?

Jeśli schaby potanieją, naspędzamy grzeszników pełne piekło, dowodził smakosz.

— I to prawda i tamto prawda — potakiwały djabły i chciały już biec, aby zaprowadzić nowy porządek na świecie.

Opamiętał ich jednak magister Erazm:

— Prawdziwy powód naszej bezradności jest inny, dowodził uczony.

Zdanie Erazma wazyli sobie wszyscy jego druhowie, więc nastroszyli słuchy i rozwarli szeroko gęby, zwyczajnie, jak to bywa, gdy ciekawość zanadto na uszy napiera.

— Zgubą naszą są księża i mnichy. Gdyby nie plątały się po ziemi te czarne, bure, gniade, białe sutanny i habity, jużby dawno rozpościerało się wszędy królestwo szatańskie.

— Nienawidzę tych łysych łbów — krzyczał Bogulec.

— I TYCH gniadych kapturów — wtórował Mizdroń.

— Gdybym mógł, wysieklbym ich wszystkich i wytopił — ryczał okrutny Pazdroń.

Erazm, czując, iż cała kompanja podziela jego zdanie, prowadził rzecz dalej:

— Polacy są tak postuszni, że na wyścigi spełniają każde żądanie księży.

— Mówi proboszcz z kazalnicy — nie zabijaj — nikt nie zabija, nie kradnij — od dziesiątka lat nie ukradziono nawet kury.

— Z małemi wyjątkami — wtrącił Ossorja.

— Drobiazgów się nie liczy — odparł mówca.

— Małżonkowie żyją cnotliwie...

— Coś o tem wiem, dorzucił zawsze niezadowolony Czorja.

— Wiesz dobrze, bo ci gnat przetrącono — odpalił z miejsca Erazm.

— Sam sobie przetamałem, gdym skakał z okna, nie chcąc narazić damy na obmowy.

Djabły zarehotaly ucieszenie, a mówca prawił dalej:

— *JEDYNA* rada, sami zbudujmy kościół i naznaczymy własnego proboszcza, a sprawa pójdzie gładko. Napędzimy do piekła tyle duszyczek, iż zakasujemy nawet djabłów francuskich, którzy cieszą się łaskami i uznaniem zwierzchności.

— *Co waszmość powiadasz?* — pytały zaskoczone tym pomysłem czarty...

— *Ano kościół z trzema wieżami, budowany z kamienia, podstawnie i okazale, z boku dzwonnica, jak się patrzy, a trochę dalej, probostwo. Proboszczem będzie Purchetka, jako że miękki jest w gębie i układny, a na inne godności wybierzemy odpowiednich kamratów.*

Do samej zorzy radzono nad pomysłem magistra, który słynął z niepospolitej mądrości, gdyż nie tylko pisywał djabłom listy do ziemskich kobiet, ale umiał także układać pozwy sądowe, a czasami nawet, gdy mu się uprzykrzyło kiwanie nad grubą księgą, z którą się nigdy nie rozstawał, szedł do trybunału patronować jakiejś nikezmej sprawie i tak ją pogmatwał, że chyba do końca świata nie rozwikłają jej sędziowie.

DJABŁY kręciły łbami z niedowierzaniem, pukały palcami w czoło, a Erazm zabrał się rażno do dzieła.

Nazajutrz rankiem dobił targu z panem Wołkiem, który był człowiekiem łatwym do interesu, bo stale potrzebował pieniędzy.

Kupił kawał ziemi, wedle niepustowskiego mły-na, a nad wieczorem rozpoczęły djabły robotę.

Naschodziło się tej hołoty kilka tysięcy.

Byli dłuży i cieńcy, grubi i podsadkowaci, jedni mieli czupryny, jak owcza wełna, drugim zwieszaty się rude kołtuny, przyszli kulawi i zezowaci, chuderlasy i chłopcy walne, a każdy brał się do dzieła wedle możliwości i bez rozleniwienia.

O północy stały już fundamenty, do południa mury, a nad wieczorem dach z miedzianej blachy pokrywał budowlę.

Nim drugi dzień minął, wznosiła się wieża i dzwony zawieszono na szczycie, a w kościele grały organy nie tak wprawdzie pobożnie, jak w innych świątyniach, lecz zawsze mile do słuchu i czule dla serca.

W NAJBLIŻSZĄ niedzielę zebrało się już ludzi niemało, a Purchetka wlaźł na ambonę, aby wygłosić kazanie.

Ślicznie mówił i bardzo do rzeczy.

Nie ganił, nie straszył mękami i piekłem, łaskawy był dla grzeszników i wyrozumiały na słabości ludzkie.

Ani też chciał, aby mu rzucali ludzie groszaki na tacę, jako jałmużnę, lecz ze swego często dawał, bo pieniędzy miał wbród, tak, jako i wszyscy djabli.

Nic więc dziwnego, że pleban bardzo się podobał wiernym, więc wędrowali do niego ludzie, nie tylko z pobliza, ale nawet z dalekich okolic, bo nigdzie nie można było dostać szybciej odpuszczenia grzechów, jak w Niepustowie, nigdzie łatwiej nie przebaczano wiarołomstwa, kłamstwa, oszustwa i łamania postów, jak w nowym kościele, a o pokucie nikt nawet nie myślał, gdyż proboszcz nie obarczał nią grzeszników i nie domagał się zadośćuczynienia za popełnione winy.

PODOBNIĘ też czynił wikary, djabeł młody i wesoty.

Niby chodził w sutannie i nosił pod pachą brewiarz, ale gdyby nie to, niktby go nie mógł uważać za duchownego, bo gracko ciągnął z butelki, na weseliskach hulał, jak dragon, a do dziewczyn tak się uśmiechał, że płonęły, jako wiśnie.

Sarkali na te przyśmieszki starsi ludzie, ale tłumaczyli sobie, że młodość jednaka jest, czy to w sutannie, czy pod dragońskim mundurem, a z biegiem lat się ustatkuje.

Najczulej zato myśleli parafjanie o organście.

Co to był za człowiek, trudno wypowiedzieć.

Gdy wlaźł na chór i zaśpiewał, drżały szyby kościelne, a przy pogrzebach tak jakoś zawodził, że choć ludziom kapały łzy z żalu za nieboszczykiem, na śmiech się im zbierało i weselszą stawała się boleść.

W kompanji zaś nikt go nie prześcignął.

Żyli w Niepustowie srodzy pijacy i dowcipni franci, ale organista wszystkich przepił i każdego z nich przedrwił, gdy zaś rozpoczął opowia-

DAĆ, to słuchacze trzęśli się ze śmiechu i prosili, aby już przestał mówić, bo zadławia ich kolki od rehotania.

Raz tylko zastanowili się ludzie, że organista zanadto dokazuje.

A stało się to z następującego powodu:

Głupiej Banasiowej urodził się syn, a powiła go akuratnie w sam Wielki Piątek nad ranem.

Przychodzi organista do matki i rzecze:

— Ochrzcij zaraz syna, bo ci się nie uchowa!

A nierozumna baba w płacz:

— Synuś mój najmiłszy, pociecha jedyna, miał-żeby mnie opuścić?

Organista zaś smyk ręką do kieszeni, wyciąga jedną flaszkę wódki, potem drugą, trzecią, dziesiątą, pięćdziesiątą, zastawia pełny stół mięsami, wtacza baryłki piwa pod ścianę, a dla godniejszych antałki miodu, gdy zaś wypróżnił kieszenie, mówi:

— Wszystko już przygotowane, tylko proś gości. Baba jak baba, w boleściach i radościach straciła rachubę kalendarza, pozwała kumów na

CHRZCINY, a gdy skosztowali po kieliszku, tak im zmąciło w głowie, że pili, jedli i hulali, aż do Wielkiej Niedzieli, zapominając o Męce Pańskiej i o Zmartwychwstaniu.

A gdy nieproszeni na chrzciny znajomkowie poszli do proboszcza ze skargą, że u Banasiowej zgorwienie i hulatyka, uśmiechnął się oblesnie fałszywy pleban i powiada:

— Miłi bracia i siostry! A cóż wam do cudzej chałupy, gdy w swojej nie widzicie śmietniska.

Idźcie i myślcie tylko o sobie!

Na całym probostwie nie udał się tylko dziad kościelny.

Gębę miał bardzo szpetną i kudłami obrosłą, spoglądał z podełba na ludzi i często słyszano, gdy mówił sam do siebie:

— Głupia robota, wolalbym już w piekle chodzić ze ścierką za Lucyferem, albo za karę psy w gębę lizać, niż bawić się takim błazństwem.

Skarżono się więc, że dziad źle zamiatał kościół, świece niedbale zapalał, a sznury ciągnął tak le-

NIWIE, że o male stajanie nikt już nie słyszał dzwonienia.

Dziad nie odpowiadał na zarzuty, stawiane mu przez parafjan, ale widocznie, iż niespokojne miał sumienie, bo ludzi unikał i niechętnie wdawał się z nimi w gawędę, nazywając wszystkich w czambuł głupcami, z którymi nie warto strzepić sobie języka.

Zdarzyło się, że do Niepustowa przyjechał znakomity scholastyk i spojrzawszy, jak gospodarują na probostwie, nabrał podejrzenia, że coś się w tem kryje złego.

Odwiedził proboszcza, rozmówił się z wikarym i wziął na spytki kościelnego, lecz niczego się nie dowiedział.

Odpowiadali jak z brewiarza lub rubryceli, a gdy zaczęli sypać kanonami i powoływać się na dekrety, pomyślał scholastyk:

— Żle, djabyły są chyba, a nie ludzie, bo żaden klerykus, a kto wie, czy nawet dziesięciu doktorów razem ma tyle w głowie, ile każdy z nich z osobna.

SCHOLASTYK uzbroił się więc w wodę święconą i kropidło i nie mówiąc nic nikomu, podsunął się pod mur kościelny.

Rano to było, a z probostwa wytoczył się dziad, aby zadzwonić na pierwszą modlitwę.

Nałożył tytoniem lukę i począł krzesać ogień.

Szło mu niesporo, bo hubka była wilgotna, więc tłukł kamieniem o żelazo, sierdząc się, że iskra nie chwytą.

Widzi scholastyk, że djabeł krzesze obiema rękami ogień, a dzwony dzwonią.

Cóż u licha, jak to być może?

Wychylił się lepiej za mur i własnym oczom nie wierzy.

Dziad ciągnie sznury ogonem, a z pyska bucha mu para, kłując nozdrza szpetnym zapachem.

— A tuś mi, mratku, ryknął scholastyk ze zgrozy, oraz z oburzenia i nie zwlekając chwili, począł kropić kropidłem i wywoływać egzorcyzmy, które rażą djabłów, jakby pioruny.

Dziad zaś w nogi...

Nie zdążył jeszcze obuć butów, bo zbyt długo

WYLEGIWAŁ się w barlogu, więc scholastyk dojrzał najwyraźniej w miejscu stóp, końskie kopyta.

Uczony profesor nie miał już wątpliwości, co zacz są ci kapłani.

Śmiało więc podążył do probostwa, śmigając na prawo i na lewo kropidłem.

Ledwie zaś otworzył drzwi, djabły w komin i tyle ich było widać.

W tej chwili zatrzęsa się ziemia i huk straszliwy doleciał do uszu scholastyka.

Wybiegł i patrzy — kościół wali się z trzaskiem i przepada pod ziemią, a w miejscu dawnej budowlі toczy się bełt wodny, zakrywa dzwonnice i probostwo, podchodzi pod mur kościelny i zatrzymuje się u granic cmentarza.

Uczony mąż miał jeszcze tyle przytomności, że skoczył poza bramę i w ten sposób uratował swe życie.

Do dzisiejszego dnia można oglądać staw w Niepustowie; niezbyt jest wielki, lecz do dna jego nie dotarł żaden żywy człowiek.

A PRÓBOWALI już niejedni...

Zaświadczają natomiast wiarogodni ludzie, iż djabły dotąd jeszcze odprawiają tam swe nabożeństwa.

Mamrocą coś niezrozumiale, tłuką się w piersi i przyklekają, dzwonią i kadzą, a dla omanienia dusz wykrzykują wyraźnie — Amen —

Nikt się jednak nie ztapie na to jedno słowo, bo podobnych głupców niema już teraz na świecie.

POKARANIE MEFISTA

*UBZDURAŁY SOBIE DJABŁY W WAR-
szawie, że wogóle nic już nie znaczą.*

*Mieźdrzą się, stroją, sypią złotem, gdzieniektóry
nauczył się od Osmółki brzdąkać na lutni i skła-
dać madrygały, lecz w żaden sposób nie mogą
wyjść na swoje.*

*Kobiety nic sobie nie robią z ich najśłodszych
zaklęć i to nie tylko młode i pełne, ale nawet
tęskniące wdowy byle jak sobie ważą najwymyśl-
niejsze pokusy. Przed niedawnym czasem zakradł
się Wielgusz pod alkowę Agaty.*

*Noc była cicha, pachnąca bzem i księżycem, rajca
ubawiał się z rajcami, deliberując o doniosłych
sprawach, a pani Agata otworzyła okno na ścieżaj,
rozważając, iż smutną jest dola żony ważnego
w mieście człowieka.*

WIELGUSZ rozwarł szeroko gardło, brzdąknął w struny i jak mógł najrzewniej zanucił:

*Źle stworzenie się czuje,
Gdy je miłość nartuje,
Wszędy smutno, jak w grobie,
Miło tylko przy tobie.*

Głos śpiewaka brzmiał trochę fałszywie i chropowato, ale rymy były składne i winne trafić wprost do serca.

Długo składał je Osmółka, a pomagało mu w tem sześciu innych djabłów, więc nieprawdopodobieństwo, żeby nie wzruszyły kobiety.

Tymczasem opuszczona przez męża rajczyni nie okazywała ani śladu przejęcia...

Wielgusz podsunął się więc bliżej pod okno, wspął się na palcach, jak mógł najwyżej i prawie do ucha zaśpiewał niewieście:

*Dusza z zimna nieżywa,
febra serce rozrywa,
lecz mam ważką nadzieję,
że się z tobą ogrzeję.*

— ŁOTRZE, hultaju — zawołała urażona biatogłowa i odskoczyła w głąb komnaty, aby pluśnąć dzban wody na łeb lunatyka, który błądzi po księżycu i wyśpiewuje nikczemne piosenki. Djabeł nie czekał takiego podziękowania, lecz cofnął się za węgiel domu, bolejąc nad niepowodzeniem.

W tej chwili zaszeleściły na ulicy ciche stapania, a Wielguszowi zdało się, iż z pod ziemi wyrósł zgrabny młodzieniec, odziany w długą jedwabną delję i beret z piórem.

Paniecz skłonił się zgrabnie Agacie i spikwwszy się zwinnie, wskoczył do komnaty.

Rajczyni zatrzasnęła okno i milczenie zapanowało w domu. Wielgusz czekał do rana, ażeby wybadać, kto jest jego rywalem, lecz nie mógł rozwiązać zagadki.

Młodzieniec oddalił się inną drogą, jak, kiedy i którędy — niewiadomo. Widocznie zapadł się w ziemię. Odkrycie to zaniepokoiło djabła.

Czyżby człowiek mógł, w sprawach miłości, mocniejszym być od synów piekła?

MOŻLIWEŻ-to?

Ze spostrzeżeniami swemi nie zdradzał się przed nikim, dopóki nie dotarł do jądra rzeczy.

Niedługo po tem zdarzeniu wpadł Wielgusz na trop tajemniczego młodzieńca.

Był w Warszawie ubogi skryba, który nie pilnował ani wagi, ani rzemiosła, żył z miłosierdzia ludzkiego, a dnie i noce trawił nad księgami, szukając prawd nieznanych nikomu.

Krążyły wokół niego djabły, zaglądały mu w księgi i skrypta, ale zmiarkowały, iż nic mądrego nie wymyślił biedaczek, więc zostawiły go w spokoju.

Co bowiem djabłom po biedaku?

Nie wiele może, bo ludziom jest niemiły!

Shusznem więc, że czarty więcej dbają o kupców, ziemian i rycerzy niż o skrybów w księgach za dłużanych.

Ale pewnego dnia Wielgusz zrobił wielkie oczy, gdy ujrzał biedaka.

Nie był to już ten sam człowiek.

Ustrajał go drogocenny atlas, a przed nim

KROCZYŁ sługa i roztrącając przechodniów wołał:

— Miejsce dla dostojnego Magistra!

I nie żywił się już uczony z garnuszka, który mu przysyłali dobrotliwi mieszczanie, lecz zastawiał obfity stół, zapraszał znakomitych mężów, oraz takich, którzyby mogli być znakomitymi, gdyby nie prześladowała ich fortuna.

Djabłowi nie mogło się pomieścić w głowie, skąd takie bogactwa spłynęły na skrybę i wietrząc złą sztukę, postanowił wybadać sprawę.

Próbował nawiązać przyjaźń z magistrem, lecz uczony zasypał go takim mnóstwem sentencji ze starożytnych i nowożytnych autorów, że djabłowi aż zmęciło się w głowie.

Nie dał się wprowadzić na niczem złapać, ale zmiarkował, że drugi raz mógłby nie wytrzymać próby, więc wołał zaprzyjaźnić się z famulusem mędrca.

Przyszło mu to łatwo i po dwóch godzinach byli jak dwaj rodzeni bracia.

Johannes, tak się bowiem nazywał sługa magi-

STRA, bardzo wychwalał swego pana, któremu niedawno los się odmienił, odkąd podpisał djabłu cyrograf na własną duszę.

— Jakiemu djabłu? — zawołał *Wielgusz*.

— *Mefistofeles* ma na imię, objaśniał *famulus*.

— *Młody* jest, bardzo gładki, chodzi ubrany z niemiecka, z mistrzem rozmawia po łacinie, z niewiastami po włosku, lub hiszpańsku, wcale nie czuć go smotę, lub siarkę, a obyczajem ma tak wdzięczne, że z biedą dorówna mu drużyna królewska.

Wielgusz aż przysiadł na ziemi, słysząc te słowa, i zawołał:

— Jedwabną nosi delję i beret z piórem?

— Ten sam, ten sam! — zakrzyknął *Johannes*.

— Co kilka dni odwiedza mego pana i zostawia kieszę dukatów.

— O nikczemnik, o oczajdusza! — srożył się *Wielgusz*.

— Co mu do nas? Po co tu wlaż? Mało ma swego kraju, że się pcha do naszego!

I djabeł, nie czekając już na świeży antalek ma-

MAZZI, który wnosił gospodarz, wybiegł z oberży i lotem skoczył pod suchą wierzbę, gdzie co wieczora zbiegały się djabły na rejdy i chichoty.

Nikczemne to było zgromadzenie.

Patrząc po pyskach, możnaby było umrzeć z przeżenienia, kto jednak zdobył się na trochę odwagi, sądził rzecz inaczej.

Djabły bowiem nie są takie straszne, jak je malują, a najobrzydliwsze monstra najmniej przynoszą ludziom szkody, gorsze są te piękne, wabne i uładne, ale takich nie wiele jest na polskiej ziemi.

Więc gdy *Wielgusz* zaczął opowiadać o *Mefistofelesie* i opisał, jak wygląda ten przechera, czarty przerwały śpiew przy lutni, w czem zaprawiał ich *Osmółka* i opuściwszy na dół ogony, spozierały smętnie po sobie, czuły bowiem, iż zbliża się wielkie nieszczęście.

Od początku świata nie było wypadku, ażeby

DJABEŁ wyrósł tam, gdzie go nie posiano, a cóż dopiero wkładał się w cudze kraje, przeznaczone dla kogo innego.

Widocznie chciał się wkupić w łaski *Lucyfera* i pokazać, co umie, aby książkę piekielną wyrzucił z *Polski* *Borutę* i jemu, marnemu sługusowi oficerów piekielnych, który chadzał tylko na przespługi i chwycił się różnych łajdactw, ofiarował godność wojewodzińską.

Łajdak, podlec, syczały *djabły*, kręcąc ogonami, jak skrzydłami wiatraka i parskały taką złością, iż *wierzba* stanęła w płomieniach od gorąca *czartowskiego* oddechu.

Srożył się nawet kusy *Werner Niemczura*, bo chociaż był rodakiem *Mefista*, przystanym do *Polski*, ażeby kusić przejezdnych kupców i wybijał dla nich fałszywe talary, uchodził za porządnego *djabła* i cieszył się poważaniem kamratów.

Rozgniewane *czarty*, chciały natychmiast biec, schwycić *Mefista* i załuc go, jakby pospolitą szelmę, ale do upamiętania przywiódł ich *czart Mizdroń*, bardzo mądra sztuka, który byłby został

PROFESOREM krakowskim, gdyby pewien świętobliwy *bakalarz* nie rozpoznał w nim *djabelskiej* postury i zawiadomił o tem koleggjum. *Mizdroń* tedy wdrapawszy się na *wierzchołek* *wierzby* przemówił do zebranych:

— *Bracia czarty!*

Próżne wasze wysiłki, przecież *djabła* nie załucicie, bo tak postanowione jest od wieków.

A na szcwaną sztukę, trzeba użyć fortelu. Niech *Orkusz* i *Czerniec* ubiorą się w kaptury mnisze i rozplatają to, co namotał *Mefisto*.

Ciężkie to będzie zadanie, ale niema innego sposobu, ażeby przechytryć Niemca.

Radę Mizdronia poparł *Pronobis* i *Ossorja*, a *Werner* obiecał narobić w mieście hałasu i ostrzec ludzi przed młodzieńcem w *delji* i *berecie*.

Nie zaniechano też zawiadomić *egzorcystów*, aby przygotowali *kropidła*.

Inne *djabły* miały czekać rozkazów *Wielgusza*, który objął komendę w tej wyprawie.

Nie tak łatwo jednak było wpaść na ślady *Mefista*.

UKRYWAŁ się między ludźmi, znajdując najwięcej upodobania w towarzystwie kobiet, świadczył im bowiem rozmaite grzeczności, bo ponad wszystkie delicje przekładał kobiece alkowy.

Długo więc włączyli się Orkusz i Czerniec i na nic ugadywali języki, głosząc tak wznioste cnoty, że aż dziwili się proboszczowie, a mieszczenie mówili między sobą:

— Święci mężowie do nas zagościli, słuchajmy ich, albowiem złote płyną z ust ich słowa!

Najbardziej występowali zaś dwaj mnisi przeciw białogłowskiemu grzechom, jako to: szaty strojne, lica malowane, drygi tanceczne i baraszkowanie z gachami.

Zwłaszcza przeciw tej ostatniej przewinie kazali tak płomiennie, że statecznym obywatelom tzy płynęły ciurkiem z oczu, a żony ich przejmował dreszcz strachu na myśl, co to będzie, gdy staną na Sądzie Ostatecznym. W niedługim czasie nie było ani jednej niewiasty w Warszawie, któraby nie wysłuchała kazania, bo gdy iść się leniła, ciągnął ją mąż lub ojciec za rękaw na naukę.

CORAŻ ciśnień więc było Mefistofelesowi i gdyby jeszcze tydzień, lub dwa potrwały te kazania, musiałby wyjść z miasta, gdyż wszyscy mieszkańcy zmieniliby się w świętych.

Postanowił zatem ubezwładnić mnichów, zamknąć im usta, a gdyby to się nie udało, podstępnie zakatrupić.

Pomylił się jednak niemiecki djabeł, nie wiedział z kim ma do czynienia.

Przy bernardyńskiej furcie mieściła się izdebka, w której zamieszkali zakapturzeni diabli.

Zakonnicy chcieli im dać godziwsze mieszkanie w klasztorze, lecz Orkusz i Czerniec wymówili się skromnością, nie chcąc tykać dymów z kadzielnic i słuchać słów modlitwy, które niepokoją czarcie serca.

Woleli więc barłóg, niż wygodę.

Wprawdzie ranił ich uszy dźwięk dzwonów z wieży, ale musieli znieść tę przykrość, byleby tylko doprowadzić do zamierzonego celu.

Od kościoła wykręcali się jak mogli, a przemawiali na ulicach i placach publicznych, najchętniej

NIEJ w sąsiedztwie gospód i zamtużów, albowiem tam, zdaniem ich, zwykli byli krążyć najwięksi grzesznicy.

Mefisto zwiedziawszy się, gdzie mieszkają kaznodzieje, postanowił ich nawiedzić nocą i wypłoszyć z miasta.

Ustroił się staranniej niż zwykle, wyostrzył szpadę, jak brzytwę i przypomniał sobie wszystkie djabelskie arkana, zapukał delikatnie w okno izdebki.

— Kto tam? — huknął zaspany Orkusz.

— To ja, złąkana niewiasta, którą pali sumienie. Przychodzę po radę i pociechę... — wyszeptał Mefisto, udając piśszczotliwy głos niewieści.

— Idź spać do licha, zawołał niezadowolony djabeł, przewracając się na drugi bok.

— Sypiać nie mogę, żyć nie mogę, żar mnie pali! Wyjdź święty mężu z sypialni, lub przyjmij mnie do siebie, albowiem łaknę twego pocieszenia, szepnął Mefisto, starając się, aby każde jego słowo brzmiało jak najwdzięczniej.

Orkusz miał dobre serce, więc pomyślał:

— DAM babie emetyk i wygonię do domu, niech nie waleś się nocą i nie przeszkadza spać ludziom, bo za dnia nie będą mieli siły do grzeszenia.

Zwlóknął się więc z tapczana, zarzucił na plecy suknię i wyszedł z izdebki.

Noc była tak ciemna, że djabelskie nawet oczy nie mogły przebić mroku.

Ledwie Orkusz postąpił dwa kroki, z za drzewa wyskoczył Mefisto i zamknął mu powrót do izby, grożąc ostrzem szpady.

— Halt okpiświecie! — krzyknął djabeł niemiecki, sypiąc skry z oczu tak strasznie, że z przerażenia zmarłyby każdy żyjący człowiek.

Lecz Orkusz zrozumiał odrazu z kim sprawa, rzekł więc łagodnie:

— Pięknież to wkradać się w cudze komory i zagarnąć, co innym przeznaczone?

— Szlachetnież to okradać własnych braci i knuć haniebne spiski?

— Nicht verstanden, odpowiedział Mefisto, zdziwiony mową fałszywego mnicha.

— *NIEROZUMIESZ po polsku psi synu?* —
zgniewał się Orkusz i począł belkotać tatarskim
językiem, tą bowiem mową porozumiewają się
djabły w piekle.

Co mówił czart do czarta dokładnie nie zapisano,
doś, że Mefisto wykrzyknął:

— *Djabel, czy nie djabel, wszystko jedno, nie-*
ustąpię jednak z tego miasta, bo tak mi się po-
doba i basta!

— *Ustąpisz, panie bracie, cedził powoli Or-*
kusza, bo inaczej pozbędziesz się kudłów na łbie,
zębów w paszczy, skóry na grzbiecie i coś jeszcze
gorszego może ci się przytrafić.

— *Spróbuj* — ryknął Mefisto — *ocierając się*
o ramię Orkusza z taką siłą, iż fałszywy mnich
omal nie runął na ziemię.

— *Panie bracie* — charkotał obrażony djabel,
tłumiąc w sobie wściekłość.

— *Nie potrącaj mnie i nie znieważaj, bo jak*
machnę na odlew, przyśni ci się...

Nie domówił tych słów, gdy Mefisto świsnął klin-
gą iomal nie przedziurawił na wylot kamrata.

ORKJUSZ odskoczył w tył i porwał lewą ręką
zdrajcę za kark, prawą młóćąc, gdzie popadło.

A Niemczura w krzyk:

— *Ratunku! Na pomoc!*

Zwabiony tym hałasem zbudził się Czerniec,
a słysząc, co się dzieje, wyskoczył z izby, wyrwał
kół z płota i zamierzył się na zdrajcę.

Orkusz jednak zawołał:

— *Nie trzeba, sam dam radę i walił pięścią*
w oczajduszę, jak w bęben.

Mefisto darł się w niebogłosy, przyzywając na
pomoc wszystkich swych rodaków, ale trochę by-
ło zadaleko, więc nie usłyszeli jego wołania.

Natomiast lament djabli zwabił Wielgusa, Miz-
dronia, Fugasa i Hejdasza, od wschodu pędził
Rokita z cepem w rękę, Rogaliński rwał na karo-
szu, aż dudniało, a Ossorja i Osmółka wiedli za
sobą kupy djabelskie, zebrane na prędcie po karcz-
mach, młynach i rozstajach.

I niewiadomo coby się stało z Mefistem, bo
czarty były bardzo rozżarte i dyszały zem-
stą.

WERNER jednak widząc, że Orkusz wyspał już zdrajcy z tysiąc kijów, prosił:

— Dosyć już, dosyć ma za swoje, choć lajdak jest, ale daruj mu resztę!

Czart jednak nie prędzej puścił zdrajcę, aż mu Mefisto zaprzysiągł na wszystkie znaki piekielne, iż opuści Polskę natychmiast i nigdy już do niej nie powróci.

Sam Werner odebrał przysięgę i powtórzył ją wszystkim djabłom, które stały kołem i gotowały się do walki.

Żaden człowiek nie byłby się dowiedział o tem zdarzeniu, gdyby brat Anzelm z bernardyńskiego klasztoru nie widział na własne oczy, jak djabeł osmagał diabła.

Brat Anzelm znał mowę niemiecką i tatarską, więc chociaż go strach mroczył, podsłuchiwał co między sobą czarty szwargocą i pobiegł zawiadomić przeora o dziwnem zdarzeniu.

Nie było więc co czekać.

Djabły nie rade z zakończenia sprawy, rozlaźły się po ziemi, aby swą złość, zapaloną przez nie-

MIECKIEGO czarta, wyrzucić na ludziach. Obity Mefisto mocno kulejąc, skoczył na ulicę i jak mógł najspieszniej, zmykał ku Staremu miastu, nurzając się w ciemnych zaułkach.

W jednym z domów paliło się jeszcze światło i rzucało mdłe promienie na ulicę.

Czart spojrzał po sobie i cofnął się natychmiast w najciemniejszy kąt, aby go nie dostrzegło jakie znajome oko.

Był obdarty, jak łachmaniarz.

W kubraku dziury, brak jednej nogawicy, piękne pióro na berecie złamane na dwoje, a z jedwabnej delji pozostała tylna część, przednią bowiem urwali mu kmotrowie.

Niepodobieństwem było w takim stroju pokazywać się ludziom i przyjacielom.

Nazawsze bowiem straciłby dobrą opinię.

Siadł tedy w kącie i czekał, a kiedy błysnął pierwszy brzask, zabrał się do roboty.

Tu okroił, tam dodał, co trzeba było załatał i wyprostował, nim słońce weszło, gotów był z robotą.

SAM się zdziwił, że poszło mu tak sprawnie, choć ubranie było nie do rzeczy.

Z tyłu długie, z przodu krótkie, razem wielkie błazeństwo, ale cóż miał robić, skoro nie dostało materiału?

A gdy tak wysztafirzony zmierzał ku bramie, aby wyjść z Warszawy, jako przyrzekł, spotkał wesołą kompanję, wracającą z nocnej hulatyki.

Sami dobrzy znajomi!

— Guten Tag — Bon Giorno — krzyczeli rozbawieni bibosze, dziwiąc się, że cudzoziemiec wygląda tak kuso.

— Nie wiecie? Po raz pierwszy widzicie? — tłumaczył Mefisto — Teraz taka moda. Żaden piękniś nie włoży na siebie innego ubrania. Poprostu nie uchodzi!

Czart mówił z taką bezczelną pewnością siebie, że mu uwierzono i uznano modę za piękną i praktyczną.

Nazajutrz wprowadzono fraki w mieście.

Mefisto już tego nie oglądał, bo chociaż był poturbowany, zdążył jak mógł najspieszniej do

SWEGO kraju, obawiając się, że w razie zwłoki może jeszcze po raz drugi wpaść w ręce polskich djabłów.

Ale trzeba przyznać, iż wcale tego nie pragnął. Skoro się znalazł za granicą Polski, westchnął z ulgą i tysiącnemu kamratowi odradzał, żeby się nie pchał nad Wisłę, bo kraj tam nieprzyjemny, a polskie djabły zawistne i zgodnie kupą następują.

ŻAŁOSNY ŻYWOT DJABŁA HEJDASZA

*NIE MOGLY SOBIE PORADZIĆ DJABŁY
z Hejdaszem.*

Głupi był i tyle.

*Nosił wprawdzie rogi na głowie, ale nikt nigdy
nie słyszał, aby użył ich do djabelskiej roboty.
Nie przebił nimi żadnego człowieka, nie kaleczył
bydła, nie groził świętym duszyczkom, lecz stroił
leś w kwiaty polne i liście, bo mu się zdawało, iż
w tej ozdobie bardzo mu do twarzy.*

I z ogona nie miał żadnej pociechy.

*Przeciwnie — puszysty zad nabawiał go niema-
łego kłopotu.*

*Siadał nieraz na miedzy i rozczesywał na nim
kudły zamiast wydrapywać pazurami skibę ziemi
i poróżnić sąsiadów. I głupio pysznił się swym
ogonem, bo zamiast ukryć go w hajdawerach,*

WYMACHIWAŁ nim rozkosznie, dając poznać
odrazu kim jest i co zamierza.

W ten sposób nie mógł otumanić żadnego człowieka.

Porządne djabły siedzą w piekle i służą jak psy
Lucyferowi, Hejdasz zaś musiał się waleśać po
ziemi, gdyż pogniewał na siebie zwierchność
piekielną.

Postawili go pewnego razu, uzbrojonego w ogromną
halabardę, u wrót piekielnych i kazali za-
trzymywać czarne, plugawe dusze, odtrącone
przez sprawiedliwość boską.

Nie mało wynikało kłopotu, bo głupi djabeł za-
ciągnął do piekła świętobliwą jakąś niewiastę,
myśląc, iż jest potępioną.

A gdy babina zmiarkowała zdradę, otworzyła gębę
i takiego narobiła hałasu, wymyślając wszystkim
diabłom, że aż Lucyfer wyskoczył z barłogu
i kazał wypuścić natychmiast niewiastę, a wart-
nika zluźować u bramy.

Chociaż bowiem jest księciem ciemności, wie, co
sprawiedliwość i nikogo nie tknie bezprawnie.

ZAGNANO więc Hejdasza do ogromnego kotła,
aby mieszał otów, którym poją w piekle obżartu-
chów i opilców za to, iż będąc na ziemi, gwałcili
przykazanie wstrzemięźliwości.

Stoi Hejdasz i miesza, aż mu pot kapie z czoła
i ręce mdleją od ciężkiej pracy.

Wkoło skuci łańcuchami spoglądają potępiency
i skóra im cierpnie ze strachu, gdy w kotle wre
i bulgoce.

A jeden z wásali, widząc, iż czart niemrawy, prze-
mówił pokornie:

— Panie djable, do krwawego potu będziesz
obracał warząchwią i nie ugotujesz tej przepa-
lanki. Posłuchaj mej rady!

— Przy czerskim tracie stoi karczma, a w niej
mieszka żyd, Moszko. Biegnij do niego i za sto
dukatów kup gorzałę, a oszczędzisz sobie krwa-
wego trudu. Wszyscy twoi poprzednicy tak za-
wsze czynili, nie bądź więc głupi i nie daj się na-
darmo zapędzać do pracy!

— O, głupi nie jestem — zawołał djabeł — lecz,
abyś wiedział, że ze mną nie przelewki, potrójną

MIARĘ wleję ci w gardło. Znaj mores, potępięncze!

A że czarty nie mają kłopotu z pieniędzmi, więc Hejdasz splunął, gwizdnął, odliczył złoto i z kopyta ruszył na ziemię.

**

Zdziwił się niemało Moszko, gdy djabeł wysypał z trzosa dukaty i zażądał tyle gorzaty, że można nią było upić nietylko wszystkich w Ozersku, ale nawet w Krakowie.

Lecz od czegoż żydowska głowa?

Djabeł płaci, szynkarz szynkuje, więc poczęto wytaczać z piwnic beki, pełne przepalanki.

Podnosi Hejdasz — ciężkie.

Ledwie trzy włożył na bary, a już się ugiął do ziemi.

Moszko zaś wciąż nowe wytacza baryły, a czart rachuje.

Jest ich sto, nie uradzi, chyba najmie podwody.

A KARZMARZ zgaduje myśli djabła i pyta pokornie:

— Dokąd odwieść, jaśnie panie...

— Do piekła — ryknie djabeł, ciesząc się iż przez rok najmniej nie będzie mieszał warząchwią i zażyje przyjemnych wywczasów, wylegując się przed kotłem.

— Tak daleko nikt nie zechce pojechać, ani wynajęć swego bydlaka, rzekł karzmarz.

Djabeł zaś w krzyk:

— Brać pieniądze to chcesz, dopisywać pijanicom półkwatki potrafisz, procenty doliczać to umiesz, a dostarczyć podwód to się lenisz?

Machał przytem tak groźnie ogonem i wykręcał paszczką, iż Moszko drżał z przerażenia i dygocząc tydami wyrzekł:

— Gdy będą pieniądze znajdą się i furmanki.

Czart cisnął kiesę dukatów, a żyd pobiegł do miasteczka.

Biegąc zaś rozważał:

— Koni mu nie dam, bo któż mnie zawiezie do miasta; wołów także nie sprowadzę djabłu, gdyż

NIE skosztowałbym potem ani kawałka mięsa, ale wiem, co zrobić.

Wieprzów mu nazganiem, niech je zabierze z sobą do piekła, bo tak czy owak nie mam z nich pożytku.

Nim wieczór nadszedł spędzono przed karczmę tysiąc świń.

Hejdasz zaprzągnął je do wozów i trzaskając głośno biczem powiózł gorzałkę do piekła.

Czart dumny, iż tak gładko załatwił się z kupnem, poustawił beczki pod ścianami i przygotował wiadro, któremby wlewał w gardło potępieńców zakupioną w karczmie przepalankę.

Stary zaś Wąsal, pijanica, widząc jak djabeł się zwiija, odezwał się z głupia frant:

— Co raz weszło do piekła już wyjść z niego nie może, więc załatw się wprzód ze świniami, bo tak kwiczą i furczą, że zbudzą Lucyfera i narobią nam wielkiej biedy.

— MÓWISZ prawdę, potępieńcze, a za to, żeś dobrze poradził, rozkazuję ci powrzucać bydlęta do ognia piekielnego i żywcem je spalić.

— Tak być nie może — zawołał Wąsal. Fluga-we te stworzenia zasługują na większą karę, bo są przyczyną obżarstwa na świecie.

Trzeba z nich wytoczyć krew, opalić w ogniu, posypać solą i pieprzem, pociąć na kawałki i uwędzić.

— Mądra z ciebie głowa — rzekł djabeł.

— Wstawię się za tobą do Lucyfera, abyś został famulusem u jednego z biesów. Rób ze świniami jak powiedziałeś, a ja ci pomogę, bo szczerze wyznam, iż nie spodobały mi się odrazu te stworzenia — odpowiedział Hejdasz, ująwszy się pod boki. I aby praca szła raźniej rozkuł Wąsala z łańcuchów, a ten, nie namyślając się wiele, uwolnił się z więzów innych potępieńców.

Zaczęła się więc robota.

Kłuto wieprze szpikulcami, parzono, krajano i przypiekano na ogniu.

Jedni wędzili schaby, drudzy stapiali słoninę,

A SAM Hejdasz nadziewał kielbasy, albowiem najbardziej podobą mu się ta czynność.

A gdy już uporali się potępińcy ze świniami, samimi, bez czarnej zachęty, zabrali się do beczek.

Hejdasz nie posiadał się z radości, iż skazańcy samimi wlewają w swe gardła przepalankę, ubywało mu bowiem trud zmuszania ich do picia.

Biegał tylko od opilca do żartoka i wołał klaszcząc w dłonie:

— Pij, pij, boś na tę karę dobrze zasłużył, grzesząc gardłem i brzuchem na ziemi!

Masz, masz, łakomecze — mówiąc to czerpał wiadrem gorzałkę z barył i rozlewał w garnce i półgarncówki.

Baczył zaś dobrze, aby każdy otrzymał sprawiedliwie i wedle zasługi.

A potępińcy pili, zagryzali kielbasą i wędzonką, coraz bardziej się radując wznosili okrzyki i przypijali do czarta:

— Spróbuj, panie djable, skosztuj okruszynkę, smakując w takich specjach zrozumiesz dopiero, dlaczego dostaliśmy się do piekieł.

SAM archanioł nie oparłby się takiej pokusie, a cóż dopiero my, słabi ludzie?

Nie mógł się Hejdasz wymówić, pociągnął z półkwatarka i zakąsił schabem.

Strasznie mu smakowało.

Węc Wąsal napełnił garncówkę, a gdy czart wychylił ją duszkiem, opanowała go niezwykła radość.

Stracił złość do potępińców i zapomniawszy o swej randze, ścisnął obżartuchów i opalców, a Wąsalowi okazywał największą serdeczność, gdyż ujął go w ramiona, ucałował w pysk z dubeltówki i nazwał najdroższym kompanem i bratem.

Gdy zaś zaspokoił potrzebę serca, podskoczył do grubej rajfurki, która pokutowała w piekle za różne szelmostwa i porwawszy babę w pół, zakreślił obertasa, aż wiatr dmuchnął w czeluści i zgasił ogień pod kotłem.

A za djabełm inni skoczyli w te pędy, przygadując Marcinowi organiście, aby rażno ciął smykkiem i poganiał kłarnecistę Szymka, który niewiadomo

ZA JAKIE winy przebywał w piekle, bo był człowiek cichy i pokorny, a na przepalankę nie-bardzo łakomy.

I kto wie jak długo trwałaby uciecha, bo kiełbas było jeszcze w bród i nie wychlano ani dziesiątej części okowity, gdyby nie Lucyfer, który wyszedł na przechadzkę po piekle.

Skoro ujrzał, co się dzieje, pozieleniał od złości i nie tracąc wielu słów na przepieranie się z pijanicami, porwał Hejdasza za kark i smignął nogą, aż zawarczało.

Czart zawył z bólu i ani się opamiętał, gdy zleciał na ziemię.

Szczęście, że wpadł w bagna, rozciągające się nad Wisłą, gdyż inaczej nie miałby ani jednego całego gnata.

Leżał tydzień, rozcierając ból niżej łopatki, a gdy zgłodniał, wybrał się na węder po kraju.

Żał jednak zrobiło się Lucyferowi, że tak niełitośnie obszedł się ze służalcem. Wiadomo, dał się wywieść w pole przez marnych oczajduszów, bo niema dobrego rozumu, który mu nadwyrężył je-

DEN Z CHERUBINÓW, tnąc djabła w łeb mieczem ognistym w pamiętnej wojnie z Panem Bogiem.

Kto mu jednak winien? Dlaczego w porę łba nie usunął?

Na ziemi jednak nie da sobie djabeł rady, gdyż spadł nad Wisłę, między chytrych ludzi.

*Jeśli*by dostał się do innego kraju, mógłby wyjść na dygnitarza, lub nawet odbierać cześć równą świętym, lecz nad Wisłą wykpią głupca i zamorzą. Już w pierwszych dniach omal nie umarł Hejdasz z głodu i gdyby był nie ukradł proboszczowi ślepej kury i nie upiekł jej w opuszczonej kuźni, już by było po nim.

Wysłał więc Lucyfer sztafetę do wojewody Boruty, nakazując mu, aby przyjął Hejdasza do świty, bo chociaż głupim był ten djabeł w piekle, pożytecznym może być na ziemi i przyda się, choćby do wymiatania śmieci.

Skoro więc Hejdasz stawił się przed wojewodą w Łęczycy otrzymał rozkaz, aby biegł czem szybciej w pole i zawałił śniegiem drogi i ścieżę.

KTÓREMI pobożni ludzie śpieszą rano na ro-
raty.

*Było to już bowiem po świętej Barbarze i gęsty
śnieg pokrył ziemię.*

*Pobiegł Hejdasz, gdzie mu kazano i dmuchał
i parował, aż zdało się wszystkim, iż dmie i świsz-
cze wichura, a to djabeł tak sapał i fukał, zmiata-
jąc śnieg na drogi.*

*Zadowolony ze swego dzieła ukrył się za kopcem,
aby ujrzyć, co z tego wyniknie.*

*Jeszcze dobrze nie rozwidniało, gdy wyszły kobie-
ty z chałup, a widząc, że na polach niema ani
okruszyny śniegu, skrzyknęły chłopów oraz dzie-
ci i cała gromada ruszyła na przelaj do kościoła,
chwaląc sobie krótką i wygodną drogę. Skoro po-
wiedziano o tem wojewodzie, bardzo się gniewał
na Hejdasza i nie wysyłał go już na takie psoty.
Nadchodziła Wielkanoc.*

*Djabelska służba rozbiegła się po świecie na robo-
tę. W tym bowiem czasie mają czarty najwięcej
zajęcia.*

Muszą odwodzić ludzi od wielkanocnej spowiedzi,

*KUSZĄ ich, aby łamali posty, namawiają na mu-
zykę i tańcówki, pomagają przy warce mocnych
napojów, bo wstyd byłby dla piekła, gdyby świę-
cone odbyło się bez obrazu boskiej i bez łbów za-
wieruszenia.*

*Przywołał tedy wojewoda Hejdasza i tak mu po-
wiada:*

— *Widzisz tę wieżę?*

— *Widzę.*

— *Wleziesz na nią i rozbijesz na Wielkanoc dzwo-
ny, aby nie zwotywały ludzi na rezurekcję. Pa-
miętaj mądrze wykonać rozkaz, bo inaczej będą
baty!*

*Wymawiając te słowa klasnął Boruta harapem
przed samym nosem Hejdasza, a chudzinę aż
przeszły ciarki na myśl, co to będzie, gdy pokpi
sprawę.*

*Obejrzał więc kilka razy wieżę dookoła, oglądał
blanki i gzymsy, po których najpewniej wleźć mo-
żna do dzwonów, a gdy nadeszła Wielka Sobota
wygramolił się na górę, ukrył pod dachem i wy-
czekiwał terminu, aby najdokładniej spełnić roz-*

KAZANIE wojewody. Zaledwie zegar na wieży wskazał północ, jak nie pocznie Hejdasz łomotać w dzwony pięściami, łbem i kopytami, jak nie zacznie chybotać sercem i targać sznurami, takie rozległo się dzwonięcie, iż najospalsi przypomnieli sobie o Zmartwychwstaniu i pośpieszyli na rezurekcję.

Skoro to ujrzał Boruta, omal go krew nie zalała z wściekłości.

Chwycił harap i chciał biec do dzwonnicy, aby oćwiczyć głupca.

Ledwie go pohamowali dworzanie, tłumacząc, iż nie wypada tak wielkiemu dostojnikowi iść pod kościół, w chwili, gdy odprawia się tam nabożeństwo.

Posłali natomiast czartowskich hajduków, aby sprowadzili Hejdasza przed oblicze wojewody.

Lecz djabeł nie był taki głupi, jakby się zdawało. Gdy zauważył na co się zanoszą, zeskoczył z wieży i pognał na przełaj przez pola i lasy, dokąd mu temu starczyło.

I nie zwolnił biegu, aż dzień nastał.

BYŁ BARDZO zmęczony i otyłłany w wodzie i błocie, a skoro spojrzał na swój ogon, płakać mu zachciało.

Puszysta, bujna kita wyglądała jak obszarpane pomiotło, a gdzieś tam znać było na niej ślady psich zębów.

Nogi bolały go okrutnie, a szczęki kłapały z przestachu.

Hejdasz rozejrzał się, gdzieby spocząć po takiej gonitwie i ujrzał na skraju wsi samotną chatkę. Zajrzał przez okna i nie spostrzegł wewnątrz nikogo.

Bez namysłu więc wlaźł kominem do izby, wsunął się do łóżka pod pierzynę i nakrył z głową.

Obudziło go dopiero późną nocą mocne uderzenie w bok.

Zerwał się na równe nogi, myśląc, iż go już chwytają pacholki Boruty, lecz gdy ujrzał przy łóżku wcale nieszeptną jeszcze babinę, patrzącą nań ze zdziwieniem, padł przed nią na kolana i począł błagać:

Zlituj się nademną, kobieto, nie wydawaj w ręce

KATÓW, służyć ci będzie wiernie i dopilnuję do-
bytku. Daj odpocząć choć do rana, nie wypędzaj
z chatupy!

W babinie ruszyło się serce i pomyślała:

— Przed pięciu laty pochowałam męża, a drugi
mi się nie trafia. Smutno żyć samotnej kobiecie.
Spróbuję, może się ten nada. Zawsze lepszy dja-
beł, niż nikt.

Więc Hejdasz został u wdowy i dobrze mu się
działo.

Do roboty niebardzo się kwapił, bo był len z na-
tury, ale trzymał się domu i do karczmy nie za-
glądał, z obawy, że spotkać tam może dawnych
kamratów, którzy go poznają i oddadzą w ręce
Lucyfera lub Boruty.

Mylił się jednak.

Lucyfer rad, że pozbył się diabła, który był za-
kałą piekła, nigdy się o niego nie dopytywał i to
samo czynił Boruta, zadowolony, iż znikł mu
z oczu głupi pacholek i gdzieindziej przystał na
służbę.

Hejdasz jednak miał się na baczności,

KAZAŁ wdowie wyrysować kredą na drzwiach
chatupy wielki krzyż, zdala widny, aby djabły
nie miały tam przystępu, a gdy zauważył w po-
bliżu podejrzaną jakiś szmer, pędził co tchu do
izby i włożył pod pierzynę, wiedząc, iż stamtąd
nie wyciągnie go żadna moc piekielna, bo baba na
to nie pozwoli.

*OPOWIEŚĆ O NIEPRZYJEMNYM DJABLE
ROKICIE*

*DŁUGI CZAS BORUTA WYSTARCZAŁ NA
całą Polskę.*

*Młody był, zwinny, jeszcze się nie zapijał i nie-
wiele miał koligacji pośród szlachty.*

*Ale djabeł chociaż nie umiera, jednak się starze-
je i co kiedyś mógł zdziałać za młodu, później
już nie może.*

Ot, na przykład:

*Wojewodzina Ściborowa miała tak liczny dwór,
iż nawet cesarzowa niemiecka nie mogła się po-
dobnym pochwalić.*

*Dwieście panien występowało w jej orszaku,
a każda tak dobranej urody i wdzięku, iż kto
je raz widział, nie mógł nigdy zapomnieć.*

*Panny nie były zbyt twarde, lecz wojewodzina
trzymała je żelazną ręką, albowiem zagarniała*

SOBIE wszystkich mężczyzn, mając fraucymer
niby przynętę na szczupaki.

Polknął niejedną rybkę, z gardła mu ją wydarła
i łakomca zabierała dla siebie.

Boruta wpadł w oko ŚciBORowej, pozwalała go
więc na biesiadę i wcale nie myślała wy-
puścić.

Gościła tydzień, miesiąc, kwartał, aż dziwiły się
panny, że patronka ich, jakoby druga nimfa Ka-
lipso, więzi męża na swym dworze.

Gdyby innemu djabłu przytrafiła się taka
gratka, zgubiłby dwieście dusz odrazu.

Boruta zaś wtrącił w piekło zaledwie dwanaście
duszyszek i to już tych najuporczywszych, które
dopominały się tego koniecznie.

W piekle patrzono z wielkiem politowaniem na
wojewodę łeczyckiego.

Widziano jak się pocił, ociągał i wymawiał to
humorami, które mu stępują do głowy, to dęga-
niem w łopatkach i zimnicą.

Zauważono zaś, że Boruta nie pociągnął za sobą
ani jednej dziewczki pośledniejszej kondycji, choć

BYŁY rumieńsze i urodziwsze od wielu szlach-
cianek.

I zaraz czart Axabel, który jest rachmistrzem
djabelskim i prowadzi rejestr dusz potępionych,
zabrał się do sprawdzania ksiąg i zameldował Lu-
cyferowi:

— Wogóle niewiele Polaków smaży się w smole
piekielnej, a jeśli jest ich trocha, to przeważnie
dobrze urodzeni, pospółstwa zaś i chłopstwa pra-
wie nie widać.

Spochmurniał wielki Lucyfer, a wiadomo, co
się dzieje, gdy djabeł nad djabły zmarszczy ob-
licze.

Piekło całe staje w ogniu, a krzyk dusz zatraco-
nych napętnia przestwory.

Wtedy ludzie słyszą wichry i tumanice, a wta-
jemniczeni w mowę niebios i ziemi pobożnie zna-
czą piersi krzyżem świętym.

Gdyby tak zbłądził się wojewoda niemiecki, fran-
cuski, lub żydowski, złożyłby go Lucyfer z urzędu
i kazałby mu za karę rąbać drwa lub zamiatać
piekło.

DŁA Boruty ma jednak księżę piekieł osobliwsze względy.

Raz, że są spokrewnieni przez Kossobudzkich, gdyż ciotka babki Boruty wyszła zamąż za syna Lucyferowego, a powtóre Boruta położył wielkie zasługi dla piekieł, o których wiedzą wszyscy djable.

Czartowska rada postanowiła przeto nie odwoływać z ziemi wojewody łęczyckiego, lecz przeznaczyła mu pomocnika, któryby go wyręczał w sprawach trudnych dla starszego wieku.

Kogo jednak wysłać do Polski?

Najpierw ofiarował księżę ciemności ten wysoki urząd członkom Rady piekielnej.

Wszyscy jednak po kolei wymówili się od tego zaszczytu.

Robon, westchnąwszy ciężko, usprawiedliwiał się ciężkością w nogach, Mojsur nie mógł się rozstać z jadem piekielnym, bo każde inne mu nie służyło. Bobon nie znoślił zapachu ziemi, a Kurdela zdrzemnął się nieco podczas obrad, więc Lucyfer nie pytał go nawet o zdanie.

PONIEWAŻ Polski nie można było zostawić w takim opuszczeniu, więc doradcy księcia ciemności postanowili czempredziej wyszukać Borucie pomocnika.

Długieby to było napewno szukanie, gdyby nie przyszedł z pomocą faktor Berek, który, choć niedawno bawił w piekle, wiedział już, co wari każdy djabeł.

Owóż Berek, zauważywszy zmartwienie Robona, przemówił w te słowa:

— Po co ten kłopot, kiedy można mu zaraz zaradzić.

Znam akuratnie takiego czarta, który jest w sam raz do tego interesu.

— Powiedz, powiedz drogi Berku, gdzie on jest i jak się nazywa? — zawołał ucieszony Robon.

— Ciężką miałem sprawę, zanim go wymalazłem — mówił faktor.

— Sto lat będziesz wolny od smażenia się w smołę.

— Sto lat za taki brylant?

— Dwieście — zawołał Robon.

— ANI za tysiąc nie mogę, odrzekł Berek, zacierając się do odejścia.

— Niech będzie tysiąc — obiecywał radca piekielny.

— Na piśmie i z podpisem Lucyfera — dopominał się faktor, inaczej tę bagatelkę załatwi wielbny pan Bobon lub Mojsur, a może nawet Kurdela.

— Pochwalili ich za to książkę, jak pochwalili...

Robon zgodził się na warunki, a Berek rzekł:

— Rokita...

— Co za Rokita?

— Wielbny pan ławnik go nie zna? Ten cham, który wozi wodę na umywanie statków piekielnych. Bardzo nieprzyjemny djabeł, ale dla Polski akurat.

Robon kazał przywołać Rokitę, a czart zjawił się na rozkaz.

Wysoki, zavalisty, w ręku trzymał bat, a odziewał się w kozuch i długie buty, chociaż w piekle aż syczało z gorąca.

Szedł ciężkim krokiem i pogwizdywał sprośne

PIOSENKI, których nauczył się na ziemi, jeżdżąc tam codzień po wodę.

Widno, iż trzymał kompanję z ludźmi, bo zepsuł sobie mowę djabelską i kłął, że aż skóra cierpła.

Na Berka zaś spoglądał z nietajoną złością i gdyby nie respekt dla ławnika, pogadałby z nim po swojemu.

Oczekiwał tego faktor, bo trzymał się w przyzwoitej odległości od Rokity.

Robon, obejrzawszy woziwodę od czubka głowy, aż do stóp — zapytał:

— Mocny jesteś?

— Nie bardzo.

— Jakto nie bardzo? — wmieszał się Berek. Onegdaj przewrócił jednym palcem mурowany dom rabina w Rożdole.

— Dobrze, a kobiety lubisz? — pytał ławnik.

Rokicie aż zsiniała gęba z radości i wybuchnął śmiechem.

— On tak lubi — dogadywał faktor, iż niema nawet czasu jeździć po wodę do Jordanu, lecz

CZERPIE ją skąd popadnie, bo w drodze za-
trzymuje się zawsze u jakiejś kobiety.

— Łezesz! — krzyknął djabeł.

— Albo łzę, albo nie łzę, odpowiedział Berek,
odsuwając się dalej od rozsierdzonego Rokity,
który zamierzał się już batem, aby prasnąć
zdrajcę.

Robon nie zwrócił uwagi na ten dyskurs, albo-
wiem pisał już list do Boruty i za wolą *Lucyfera*
poleciał mu dzielnego pomocnika.

Aż za *Mławę* wystął wojewoda kolasę, którą miał
przybyć Rokita do Łęczycy.

Kusy oporządził jak się należy konie i uprzęż,
a sam ubrał paradny kubaś i nową czapę, aby
się godnie pokazać wielkiemu urzędnikowi.

Punktualnie o dwunastej w nocy wylazł Rokita
z dziury wedle krzywego mostu i cmoknął z za-
dowolenia, widząc tak świetny pojazd i wystrojo-
nego stangreta.

POCZĄTKOWO pomyślał, iż sam wojewoda
powozi końmi, więc zdjął nisko czapkę i nie śmiał
przemówić pierwszy. *Kusy* zaś, trzymając czapę
przy ziemi, trwał w milczeniu, aby nie uchybić
służbie i nie odzywać się niepytany.

Tak dwa djabyły świadczyły sobie grzeczność.

Po dłuższej dopiero chwili odezwał się Rokita:

— Dobrze pasieta konie, bo nie chcą ustać na
miejscu — i klapnąwszy *Kusego* po ramieniu,
począł się gramolić na kozioł.

— Jaśnie panie, wygodniej będzie na tylnem sie-
dzeniu, zagadnął woźnica.

— Wygodniej mówisz — odrzekł Rokita. A cóż
ty sobie myślisz, świńskie ucho, że na zad
twój będę patrzył i kudły twoje liczył? Sam sia-
daj w tyle i daj lejce! Jak żyję, nie widziałem
takich koni, chcę je wypróbować.

Kusy zdziwił się mowie urzędnika, ale wiedząc,
że panowie mają kaprysy, wlaź na tylne siede-
nie, rozłożył się wygodnie na poduszkach i wdział
wojewodzińską szubę.

Rokita zaś mówił:

— *DYSZLOWY* psa wart, widzi mi się narowistym, a za tę parę na przodku nie oddałbym mej gniadej kobyły.

Co to za szkapa!

Tylko jej szepnąć było do ucha, dokąd chcesz, a spać mogłeś wygodnie, gdyż nigdy nie chybiła drogi.

Nie tak jak twoje, przodkowe, których nie wolno spuszczać z oka, bo rozniosą taradajkę. Ho, ho, znam się, brachu, na szkapach i nie dam się zagadać!

To mówiąc, klasnął Rokita batem, a konie ruszyły, jak opętane. Strach było patrzeć, gdy zerwały się z miejsca i pognały galopem.

Kusy, aż zamknął oczy i owinął się cały szubą, wiedząc, iż nic dobrego nie wypadnie z tej jazdy. Nie cieszyło go nawet, iż wszędzie po drodze pozdrawiali ich djabli i ludzie, a niektórzy odzywali się z przekąsem:

— *Patrzcie, patrzcie, jak Kusy się panoszy. Wiadomo. Zausznik pański zawsze dochrapie się znaczenia.*

JAK zaraz szardział, łeb wsunął w futro i znajomych nie poznaje.

O uszy *Kusego* odbijały się te słowa, nie zastanawiał się jednak nad ich znaczeniem, gdyż każdej chwili spodziewał się skrócić kark.

Pędzili już tak godzinę, a konie coraz sroższy brały impet, prześcigając ptaki w powietrzu i wiatry na wygonach.

Naraz — krach — pękło koło, a *Kusy* wyleciał, jak z procy.

Ponieważ przygotowany był na tę przygodę, więc wywinął trzy kozły i padł na miękką ziemię.

Gruba szuba ochroniła go od potłuczenia, mógł więc stanąć zaraz na równe nogi i spojrzeć, co się dzieje z kolasą, końmi i *Rokitą*.

Wspaniały pojazd rozszarpywały szalone rumaki, tłukąc nim o wyrwy i kamienie, a nieszczęśliwy woźnica leżał półmartwy w rowie.

Krew zalewała mu twarz i ręce, a w palcach trzymał kawał zerwanych lejców i złamany bat. *Kusy* pożądał gościa, lecz wię-

KSZY żał było mu koni, które pędziły na zatrącenie wprost przed siebie.

Puścił się pędem za nimi. Chociaż był djabłem, nie zdołał jednak dognać rumaków, albowiem nie były to zwyczajne konie, lecz krew miały w sobie piekielną, więc nie sposób było im nadążyć.

Kusy, ubiegłszy młę, zadyszał się potężnie i dał spokój dalszej gonitwie, wiedząc, iż jest daremną. Gdy wrócił na miejsce wypadku, *Rokita* siedział już na szkarpie i kłął, aż w oczach brzydło.

Podnieść się jednak nie mógł, więc o pieszej podróży nie było mowy.

O co zrobić?

Siadły więc oba djabły przy drodze i jeden drugiemu przygadywał:

— *Smoki* macie nie konie i wozicie nimi gości, aby ich rozbijać po drodze, rezonował *Rokita*, trąc pazurami krzyże, które mu sprawiały ból.

Jaśnie *Pan* zanadto ciął batem — usprawiedliwiał się *Kusy*.

— *JAK* ciąć, to ciąć, a nie baraszkować! — ryczał gość z piekła, gdybym cię tak zdzielił po zasmolonej gębie, napewno byś nie otworzył paszczęki, aby mnie przekonać, że ja zawiniłem, a nie ten stary klekot, który nazywacie *kolasą*.

Umyślnie wybraлиście spróchniałe koła, aby mi potłamać kości. Nie udało się jednak, całe mam gnaty, choć trochę potłuczone, ale gdy się wyleczę, zabiorę się do porządków.

— Jaśnie *pan* wąsko siedział na koźle — tłumaczył *Kusy*.

— A cóż ty, *pepku kosmaty*, jesteś *mamką* moją, abyś mnie uczył, jak mam sładać, małoż to się nasiedziałem w kuczki na dyszlu, wożąc wodę do piekieł? — odpowiadał coraz gniewniej *Rokita*. I długo tak byliby się przepierali, gdyby nie ukazał się na drodze *szmaciarz*.

Biedny miał wózek, a biedniejszego konia, więc choć *Kusy* doradzał, aby poczekać na jakiegoś dziedzica, zwalić go z bryki i odjechać do *Łęczycy*, *Rokita* się uparł, iż nie chce innego pojazdu, gdyż kulawa *szkapa* bardzo mu się spodobała.

Z BIEDĄ wsadził Kusy gościa na kupę łachma-
nów i popychając wraz ze szmaciarzem wózek,
pówłókł się spolem drogą.

Niezadowolony był Boruta z przybycia nowego
urzędnika, który miał z nim podzielić władzę.
Siedział więc smętny przy dzbanie i raz poraz
pocierał czuprynę prawą ręką, u której brak było
trzech palców.

Odrąbał mu pazury Kalina w pojedynku, gdy ja-
ko młody jeszcze djabeł zalecał się do jego żony.
Dawne to już czasy. Kamienie mchem porośły,
rzeki pozmieniały koryta, a Boruta się postarzał
i sam już nie może wydołać wszystkim obowiąz-
kom.

Tym jednak razem zawiniła Śaiborowa. Gdyby
nie ona, poradziłby sobie z dwustu dziewczkami jej
fraucymeru, a tak co? — śmiech w piekle i na-
ślany przez Lucyfera pomocnik.

Niechby tę babę wprzód pochłonęła była ziemia,

STO czartów miałoby z niej uciechę, a on jeden
biedaczek jakoż miał tylu djabłów zakasować?

Już wypróżniał Boruta trzecią beczkę węgrzyna,
a jeszcze nie zalał robaka, który kąsał okrutnie
jego duszę.

Naraz wyjrzał przez okno i parsknął śmiechem.
Na dziedziniec wjeżdżał Rokita, a szelma Kusy
wykrzykiwał całym gardłem:

— Uważajcie ludy, jedzie pan bogaty,
Najpiernw woził wodę, potem zbierał szmaty,
O jej!!!

Djabły hurmem wyległy na podwórze, aby przy-
witać gościa, który zastępywać będzie wojewodę,
Drżały im tydy ze strachu, lecz, gdy ujrzeli wy-
ciągniętą na gnoju postać, otucha wstąpiła w ich
serca, a marszałek Pronobis, zebrawszy się na
śmiałość, zawołał:

— Znieść go do chlewa i tam niech rezyduje!
Rokita, chociaż jeszcze cierpiący, podskoczył na
równe nogi.

— Dokąd mam iść?

— Tam, gdzie się właści słusznie należy. W takiej

PRZYODZIEWIE i z takim obyczajami niczego nie działasz w Polsce i na wstyd nas narażasz, więc łatwo wypłoszyć możesz tych, którzy do nas się garną.

— Do chlewa nie pójde, ale pokażę wam pańskie djabły, co mogą i jak sobie poradzę, rzekł urażony Rokita.

Odchodzę zaraz — i mówiąc te słowa, pokuszył się w pole i przepadł wśród ludzkich chałup.

Śmiechem odprowadzały gościa łęczyckie djabły, drwiąc niemiłosiernie z jego grubych obyczajów, z mowy nieokrzesanej i gburowatych ruchów.

A Rokita nasunął czapkę na uszy i klnąc obrzydliwie, oddalał się od czartowskiego gniazda, przysięgając, iż nigdy nie spojrzy w stronę Łęczycy. Boruta niby nie chwalił marszałka swego i służby za haniebny postępek z wystannikiem piekła, ale uśmiechał się pod nosem, klepał djabłów po ramieniu i nie rzekł ani słowa, gdy bezecne psiarnstwo upiło się tego wieczora do nieprzytomności.

IDZIE Rokita i myśli:

Oóżem to pies, głupiec lub niemrawa, abym sobie nie poradził na świecie i nie zakasował tych galganów z Łęczycy?

Spojrzałem tylko przez okno i już wiem, jakie tam kapcaństwo.

Blichtr dla zamydlenia oczu i wielkie gęby.

Ale co prawda — to prawda.

Tyle wieków woziłem wodę, iż nie miałem czasu napatrzyć się elegantom i poznać ich zwyczajów.

I kapota przez ten czas trochę wypłowiata, a czapka barania wytarta już na poły.

Tylko odmienię strój, a napewno rozkocham w sobie jakąś hrabinę, bom chłop na schwał i mogę się podobać.

Mówiła mi to niejedna...

Tak rozumując, dotarł do Zamościa.

Zdaleka już okrutnie spodobało się Rokicie to miasto, tem bardziej, bo zasłyszal po drodze, iż mieszka w niem prześliczna hrabianka, z którą rodzice mają niemało kłopotu, gdyż jest bardzo wybierna i odpala każdego konkurenta.

NAPEWNO mnie nie odrzuci, tylko się ustroje należycie, mruknął djabeł i przyspieszył kroku. Do miasta jednak nie chciał wchodzić bylejał ubrany, przeto już na przedmieściu oglądać się począł za krawcem.

Co spotkał przechodnia, zapytywał:

— Jegomość, powiedz mi, gdzie tu mieszka hrabski krawiec?

Jedni radzili mu iść do zamku, drudzy wedle kościoła, aż wreszcie trafił się przechodzień, który rzekł:

— Na co ma być hrabski, kiedy może być jeszcze lepszy...

— Prowadź — skinął djabeł, a rudy Aron, podskakując na jednej nodze, zaprowadził go do swego szwagra Mordki.

Płacę gotówką, szuj ubranie!

Skoro przyszło do wyboru, Rokita zdecydował się na frak, gdyż słyszał, iż jest to ubiór najmodniejszy, a lepszym chciał być od djabłów łeczyckich, którzy noszą kontusze.

Do rana strój był już gotowy, Rokita wciągnął go

NA grzbiet i zapłacił, bo djabły różnią się tem od ludzi, iż nigdy nie robią długów i są rzetelne. Jeszcze trochę kłopotu było z pantoflami i kapeluszem, lecz Aron dostarczył wszystkiego.

— Teraz jestem hrabią! — wykrzyknął czart, wepchnął pazury w kieszenie od spodni i splunąwszy przez zęby na dziesięć sążni, wkroczył do Zamościa, aby odszukać hrabiankę.

Wiedział, iż nie należy rozgłaszać swych zamiarów, więc postanowił sam znaleźć pannę, bo osoba tej rangi i piękności nigdy ukryć się nie może.

Tydzień cały bawił w mieście, jadł, pił, spał i zaglądał od chatupy do chatupy, a gdy go pytano, czem się zajmuje, odpowiadał bez namysłu:

— Jestem hrabią!

Dla dodania sobie większego znaczenia, patrzył przez ramię na mieszczuchów i z byle kim nie wdawał się w gawędy.

Siódmego dnia stanął djabeł wedle rynku, zadart nos do góry i spoglądał, kiedy się pojawi hrabianka, miał bowiem przeczucie, iż napewno ją dzisiaj ujrzy i pozyska.

JAKOŻ niedługo czekał.

Z kościoła walił tłum ludzi, a wśród ślicznych panien wypatrzył Rokita najśliczniejszą.

Zauważył nawet, iż uśmiechnęła się na jego widok, więc nie tracąc czasu, uszczypnął ją w podbródek i zawołał:

— Podobasz mi się!

Wymawiając zaś te słowa, pociągnął dziewczynę z całej siły i pocałował ją w usta raz, drugi i trzeci.

Zaledwie jednak to uczynił, poczuł ból we łbie i w krzyżach, a ze wszystkich stron posypały się pałki, bębnię po skórze diabła, jak po grochowinie.

— Co to jest? Co się dzieje? Hrabia jestem! — krzyczał diabeł, oszotomiony razami.

— Oszust, włóczęga, — wołali mieszczenie, a młocka na plecach nie ustawała.

A jeden z litościwych, widząc, iż franta zakatrupią, przemówił do współbraci:

— Jeśli jest hrabia, zna parle franse, a wtedy po rycersku odpowie za zniewagę mieszczańskiej dziewczyny.

WIĘC zaraz wysunął się z tłumu bakalarz Mroczek i podając djabłu książkę, odezwał się:

— Czytaj!

Rokita spojrział na karty, a ponieważ nie znał się na piśmie, odpowiedział:

— Oczy mi zamroczyło i miesza się mi w głowie, gdy odsapnę, przeczytam wam zdołu, zgóry i na poprzek, bo nie sprawia mi to żadnej różnicy, tak jestem wyćwiczony w literach.

W głębi zaś duszy mamrotał:

— Słusznie marwił Lucyfer:

— Głupi czart, nie wart nawet krowiego ogona i nie piekła po takim ciemiedze.

— Okuć szelmę w dyby! — wołali mieszczenie — a jeśli nie udowodni swego hrabiostwa, obawieć go na rynku!

Założono djabłu łańcuchy na ręce, oraz na nogi i zawleczono go do lochu.

Rokita jednak nie byłby czartem, aby dał się dręczyć ludziom.

Skoro się uciszyło na rynku, zerwał okowy, wyważył drzwi i znalazł się na wolności.

— HRABIA być nie mogę — pomyślał — choć modny mam ubiór, ale nie umiem po francusku, natomiast zostanę szlachcicem i zamieszkam w pięknym dworze.

Dwa dni drogi za Zamościem ciągnęły się obszerne pola, mało jeszcze zamieszkane, tam więc udał się Rokita, aby osiąść na stałe.

Upatrzył sobie wcale obszerny pagórek, wybudował dom, który przypominał kształtem psią budę, chociaż był znacznie obszerniejszy i naspędzał z okolicy chłopów, aby mu orali i obsiewali pole. Twarda była służba u diabła.

Skoro świt, gnał czart chłopów w pole, mało im dawał jada i smażył batem, gdy ustawiali w pracy. Często srożył się Rokita nad pomyślenie.

Wszystko było mu złe, wszędzie coś znalazł nie po swej myśli i tak się sierdził, że piana wypływała mu na głowę.

Niewiadomo, jak długo znosiliby chłopci to ciemństwo, gdyby nie Antoniowa.

Mąż jej, chociaż nie ułomek, aż stękał od trudu, a gdy noc przyszła, padał, niby kłoda na postanie

I ŻADNA siła nie mogła go poruszyć. Żle jest z chłopem, podumała baba, ten czart go zamorduje.

Niedoczekanie jego!

I zmartwienie swe zwierzyła Sikorowej i Czubaczce, a obie te kobiety potwierdziły, iż z ich mężami to samo się dzieje.

Rada w radę, postanowiono nauczyć diabła rozumu.

Nazajutrz rano wstał Rokita szczęśliwy i uśmiechnięty, do kobiet szczerzył zęby, a chłopów wesoło popędzał batem, iż zasapali się okrutnie, chociaż do południa było jeszcze daleko.

A gdy słońce najjaśniej rozgrzewało, parząc aż do krwi grzbiety, omdlała szkapa u pług.

— Babę zaprzęć na jej miejsce — wołał djabeł i próbował zarzucić chomonto na Sikorową.

Cwana baba, niby pozwalala, niby wypraszała się od zaprzęgu, upatrywała jednak, aby djabeł się zagapił.

A gdy czart na chwilę stracił uwagę, zarzuciła mu kantar na pysk, ochetstała bestję

I DZIERŻĄC go silnie przy wędzidle, włożyła na łeb chomonto.

Nie opatrzył się nawet Rokita, gdy zaprzężono go do pługa.

Czubaczka z lewej strony, Sikorowa z prawej popędzały czarta miotłami, a Antoniowa trzymała pług za kijce, aby brał jaknajgłębszą skibę. Słońce już zaszło, a baby jeszcze orały w diabła, aż padł z umęczenia.

Gdy przyszedł do siebie, głęboko się zastanowił: Szlachcicem nie będę, psia to robota, wolę zostać chłopem.

Sam sobie ze wszystkim dam radę i tyle obsieję, ile zjem.

Szedł więc djabeł trzy dni, aż zaszedł w bagna poleskie i upatrzył sobie piękną miejscowość i został Poleszczukiem.

Na gospodarstwie jednak całkiem mu się nie wiodło. Posiał ziemniaki, a owies posadził i nic mu się nie urodziło.

— Lichą wybrałem ziemię, pójdę gdzieindziej — rzekł djabeł i wymiósł się w inne strony.

LUDZIE zaś nazwali zaraz Rokiciem to miejsce, w którem czart gospodarzył.

Trzysta lat mija, a djabeł szuka ciągle odpowiedniego dla siebie gospodarstwa.

Miał ich już bez liku, lecz na żadnem nie mógł wyjść na swoje.

Teraz darmo już ziemi dostać nie może, bo mało jej na świecie, chodzi więc po jarmarkach, wypytuje się i targuje, płaci wódkę i piwo, a gdy kupna nie ubije, mści się na chłopach.

Jednego wepchnie w bagno, innemu gnaty przetrąci w sprzeczce, są tacy, na których spuści taki tuman, iż błądzą po ostępach i nie mogą trafić do domu.

Nie jednemu upuścił krwi lub zamroził na zimnie i tak czyniąc łajdactwa, raduje piekło i gubi dusze ludzkie.

Pańskich djabłów nie znosi, a gdy czasem go zagadną, wykręca się do nich zadem i takie brzydkie mówi słowa, iż lepiej nie słuchać.

*HISTORJA ŻARŁO CZNEGO DJABŁA
FUGASA*

*KRYSI FELIŃSKIEJ,
MAŁEJ PRZYJACIÓŁCE,
POŚWIĘCAM*

*NIE BYŁO ŻARŁOCZNIEJSZEGO DJABŁA
od Fugasa.*

Gdy wojewoda indyjski Oribel przysłał Lucyferowi skrzynię najlepszych fig ze swego kraju, obżartuch Fugas wdarł się do spiżarni i tak długo jadł, aż zjadł wszystko, nie pozostawiając panu okruszynki na pokosztowanie.

Kiedyindziej znowu Lucyfer kazał kucharzowi ukuchcić pasztet z serc grzeszników, którzy piórem przywodzą ludzi do złego.

Skoro podano ten specjał, zdziwił się Lucyfer, iż starczyło ledwie na jeden kęs.

Nim bowiem doniósł Fugas mięsę z kuchni do stołu księcia ciemności, obżarł się tak potężnie, że mało nie pękł i długo potem chorował, albowiem potrawa była zbyt mocna.

*NIE BYŁO ŻARŁOCZNIEJSZEGO DJABŁA
od Fugasa.*

Gdy wojewoda indyjski Oribel przystał Lucyferowi skrzynię najlepszych fig ze swego kraju, obżartuch Fugas wdarł się do spiżarni i tak długo jadł, aż zjadł wszystko, nie pozostawiając panu okruszynki na pokosztowanie.

Kiedyindziej znowu Lucyfer kazał kucharzowi ukuchcić pasztet z serc grzeszników, którzy piórem przywodzą ludzi do złego.

Skoro podano ten specjał, zdziwił się Lucyfer, iż starczyło ledwie na jeden kęs.

Nim bowiem doniósł Fugas mięsę z kuchni do stołu księcia ciemności, obżarł się tak potężnie, że mało nie pękł i długo potem chorował, albowiem potrawa była zbyt mocna.

CIERPLIWIE znosił *Lucyfer* łakomstwo pachotka, aż wreszcie wygnał go na ziemię, zakazując mu pokazywać się w piekle, aż do końca świata.

Fugas był bardzo zadowolony z tej zmiany losu. Nie głodował wprawdzie u *Lucyfera*, ale też nie otrzymywał żadnych przysmaków.

Dostawali je bowiem czarci wyższych rang, a jemu, biedakowi, przeznaczano tylko kości do obgryzania i resztki ze stołu.

Bywało nawet, że niedojadał i musiał się obywać smakiem. Skoro więc wypędzono go z piekła, czuł się bardzo szczęśliwym i wywijając pociesznie koziołki, skoczył natychmiast na ziemię i nie ukrywał swej radości, iż teraz dopiero naje się i napije do syta i wedle własnego smaku.

Trochę się jednak zawiódł w rachunku.

Wprawdzie ludzie zapalają świeczkę czartowi, ale nikomu nie przychodzi do głowy zapraszać i raczyć nikczemników wszystkim, co mają najlepszego.

Początkowo chciał *Fugas* postępować uczciwie,

SKORO więc ujrzał dym w kominie, pukał do drzwi i skłoniwszy się gospodyni, przemawiał:

— Jestem djabeł, dajcie mi się najeść dużo i dobrze! Kobieta, usłyszawszy te słowa, nie spełniała nigdy żądania czarciego, lecz odżegnywała się krzyżem świętym.

Djabeł zaś nie tylko nie otrzymywał poczęstunku, lecz musiał czempredziej uchodzić, mając respekt przed znakiem *Męki Pańskiej*.

Raz nawet omal nie przepłacił *Fugas* zdrowiem swej uczciwości.

Zawitał do pana *Niemiry* i rzekł prosto z mostu: — Jestem djabeł, rodem z piekła, daj mi jeść i pić!

Niemira był chytrym człowiekiem.

Niby się ucieszył z odwiedzin, wprowadził djabła do świetlicy, posadził go za stołem i wniósł ogromny dzban wina.

Fugas tyknął kilka razy i zakręciło się mu w łbie. Nie czuł nawet, jak *Niemira* skrępował mu ręce i nogi, wsadził djabła w worek i kazał nieść nad rzekę, ażeby utopić poczwagę, a potem przy-

WALIĆ poświęconym kamieniem, z pod którego się nie wydostanie, chyba aż na Sąd Ostateczny. Nad samym brzegiem zmiarkował dopiero czart niebezpieczeństwo i w ostatniej chwili wyślizgnął się z matni.

Po tym wypadku przyszedł Fugas do przekonania, że niewiele zarobi na ziemi w uczciwy sposób, a dopytać się może niemałej biedy.

Stał się więc oszukańcem.

Już nie mówił nigdy, kim jest i skrzętnie ukrywał swe pochodzenie, przedstawiając się szlachcie, jako szlachcic, mieszczanom, jako mieszczanin, a biedocie, jako biedak.

Ale niewiele zyskał na tym sposobie.

— Skoroś równy nam, więc jedz i pij to, co i my, mawiali gospodarze, a Fugas nie był zadowolony z takiej gościny, bo chciał lepszego i sutszego przyjęcia.

Wyobraził więc sobie, że skoro uchodzić będzie za króla, nie poskąpią mu niczego i otworzą na ścięgaj piwnicę i spiżarnię.

A zdarzyło się, iż wedle Bożego Narodzenia cza-

PAŁ Fugas drogą, rozmyślając, gdzie wejść, aby nasycić głód i pragnienie, które go strasznie dręczyło.

I zdążając do Bodzanowa, napotkał gromadkę chłopców, spieszących w stronę miasteczka.

Wdał się z nimi w rozmowę, a gdy go zapytali, kim jest, wyrzekł z wielką pewnością siebie:

— Jestem królem!

— Doskonale się składa — odpowiedział najstarszy wyrostek. Chodzimy po kolędzie i zgubiliśmy w drodze króla Heroda. Zziąbł strasznie, więc pozostał w chałupie, aby się ogrzać. Bierz w rękę berto, na głowę czapkę z koroną, będziesz Herodem!

— Nadajesz się do tego doskonale, bo masz śmieszny pysk.

Fugas wołał być Sobieskim, lub królem francuskim, lecz pomyślał, że Herod również był wielkim władcą, bo porwał się nawet na Pana Jezusa.

Przyjął więc zaproszenie i przystał do kompanji. Nie wiedział jednak, co czyni.

SKORO przyszli do miasteczka, zapukali do domu burmistrza, aby zakolełdować.

Djabel wiał się w boleściach, wykrzywił głowę, jakby łykał piołun, to bladł, to czerwieniał, gdy kompanowie śpiewali o Najświętszym Dzieciatku, wytrzymał jednak do końca i sam nie najgorzej podśpiewywał, aby nie wyszło na jaw, że jest czartem, gdyż miał już doświadczenie, jak niebezpiecznie z tem się wydawać.

Gdy przyszło do rozrachunku między kołędnikami, nasypiano Fugasowi pół czapki groszaków.

Pocił się, bo pocił, ale zarobił na dobrą wieczerzę. Nigdy jednak już potem nie chciał udawać króla, wołał być złodziejem.

Lecz w złodziejskim zawodzie strasznie musiał nadwyreżać rozum, aby wymyślić, gdzie pójść i co złapać.

Czasami cały dzień chodził pod opłotkami i krył się w wilgotnych norach, zanim wypatrzył sposobność, żeby ukraść jakiś kęs.

Nic więc dziwnego, że stał się niewybrednym, a niekiedy podjadał nawet psy w budach, nie

GARDZĄC nawet gorszą stawkę. Dobrze było Fugasowi, gdy zaprzyjaźnił się z majtrem Cachem w Czerwińsku.

Osobliwy to był człowiek.

Mierzył z górą cztery łokcie i nie było w całej okolicy ani jednych drzwi, przez które mógłby się przecisnąć bez trudności, takie bowiem miał szerokie bary i wzniosły brzuch.

Majster Cach szył mieszczanom żupany i kapoty, a że mu się nieraz cniło przy robocie, więc jak mógł rozpraszał nudę.

Co zrobił ścieg przegryzł pieczenią i popił piwem, więc rósł w szerz i wedle jego grubości każdy miarkował, iż był znakomitym krawcem i roboty miał niemało.

Fugas spędzał Cachowi klientów z dalszych nawet okolic, rozgłaszając wszędzie, iż przyjaciel jego jest mistrzem ponad wszystkie mistrze, a tak szczęśliwym, że człowiekowi odzianemu w żupan przezeń uszyty wszystko się darzy i nic nie zawodzi.

Dzięki temu rozgłosowi majster szył i tył a tak

JUŻ UTYŁ, iż trudno mu było ruszyć się z miejsca bez stękania i sapania.

Mówili przeto ludzie:

— Niedługo już pożyje nasz majsterek, bo go za-
leje własny tuszcz.

Skoro to usłyszał Fugas, przybiegł w te pędy do domu majstra, usiadł przed warstatem i pilnował rychło grubas wyzionie duszę, aby ją porwać i wrzucić w ogień piekielny.

Siedzi djabeł, majda nogami, bo mu się przykrzy czekanie i spogląda raz na brzuch majstra, to znów na tłustą pieczeń, leżącą wedle warstatu.

Ślina mu wypływa na usta z ogromnego łakomstwa, a co krawiec ugryzie kęsiek, Fugas połknie trzy, albo i więcej, gdy grubas odwilży gardło jednym łykiem piwa, djabeł wypije cały kufel.

Skoro nastał wieczór majster woła:

— Dajcież mi czegoś uczciwie przekąsić, bo mnie aż ściska z głodu, a Fugas ledwie się może ruszyć tak się objadł i opił, czekając na duszę przyjaciela. Minął kwartał, majster wysechł na szczapę, a Fugas zgrubiał jak beka.

I KRAWIEC byłby może umarł z wyglodzenia, gdyby nie zauważył, kto go bezczelnie podkrada. Kiedy bowiem majster już srodze osłabiony zażądał mocnej polewki, djabeł jakby nigdy nic, przysunął się do stołu i korzystając, iż przyjaciel zdjął z nosa okulary, podjadał go w łajdacki sposób.

Co krawiec nabierze pełną łyżkę, Fugas chlip, a łyżka jedzie próżna do ust niedowidka.

— Tam do licha, co się dzieje? — zawołał Cach i nachylił się, żeby uprzeć, czy łyżka nie dziurawa. I w tej chwili zauważył jak djabeł smakowicie się oblizuje, więc go łychą w łeb, aż Fugas spadł z zydla.

Majster zerwał się na równe nogi, aby pochwycić złodziejaszka i natarmosić mu uszu.

Lecz czart nie czekał, bądek w okno, wytłukł szymbę i potoczył się jak kula w ogród.

Szczęściem, że krawiec nie mógł djabła ścigać, bo był bardzo osłabiony z głodowania, inaczej byłoby z Fugasem źle, bardzo źle, gdyż Cach był chłopot zapamiętały, a gdy bił, to nie na żarty.

Więc nigdy już nie próbował djabeł przyjaźni

Z LUDŹMI silnych pięści i wołał wybierać chudziń i niemrawców, gdyż łatwiejsza z nimi była sprawa i mniej niebezpieczeństwa. Idąc zaś bitym gościńcem zauważył chłopą popędzającego szkapiny.

Chłopu kurzyło się z czupryny, a wóz zataczał się od rowu do rowu.

Djabel był bardzo zmęczony a siniec na łbie parzył go nieznośnie.

Do nozdrzy czarcich doszedł nagle zapach wędzonej kiełbasy i miły chlup gorzałki w niezgorszej beczulce. Fugasowi zaiskrzyły się radością oczy i od tylnych drabek wskoczył na wóz, wsunął się między słomę i nakrył z głową.

A chłop pomrukiwał:

Gorzaleczkę wiozę i beczulkę wina,

Aby goście pili na chrzcie mego syna.

Djabel namacał ręką, gdzie leżą obie baryłki, wygrzebał pazurem szpunt i cmoknął z całej siły. Raz gorzałkę, potem wino, a na przekąskę gryzł kiełbasę, aż mlaskało.

Woźnica coraz głośniejsze polerzykiwał, naciskając

CZAPKĘ na bakier, bo mu w duszy było wesoło i rażno, a czart przykładł ciągle pysk do beczek. Gdy wysączył już wszystko do ostatniej kropelki i zjadł co było, prasnął chłopą łapą w kark i zawołał:

— Dokąd jedziecie gospodarzu?

— Do Koziębórk, kumie, odpowiedział chłopina zadowolony, że może się z kim ugadać.

Djabel szarpnął lejcami na lewo, a konie zboczyły z drogi, pędząc w stronę Sierpca, dokąd mu się spieszyło, albowiem umówił się z grubą Magdą na podwieczerek.

Skoro zobaczył jej dom, zeskoczył z wozu i podciąwszy batem konie, aby gnały na bezdroże, śmignął do chatupy.

A chłop jechał, wreszcie zawadził o pień, wywalił wóz i otrzeźwiał.

Kiedy zaś przyszedł do siebie i zauważył, że beczki próżne, a kiełbasa pożarta, strasznie się mu zrobiło markotno i jął przemyśliwać jak się pokazać swej żonie i wymówi sąsiadom, którzy proszeni w kumy przygotowali się już na dobry traktament.

OBSZUKAŁ wszystkie kieszenie, ale nie znalazł w nich ani grosika. Żyd nie chciał dać na kredyt, więc pełen skłopotanych myśli wracał Maciej do domu.

Przed każdą figurą zdejmował czapkę i prosił wszystkich świętych o natchnienie, gdyż bał się okrutnie żony, jako że była kobietą cnotliwą i prędką.

Coś mu szeptało, że tym razem babie się nie wywinie.

Niema jednak tak głupiego chłopca, aby nie próbował przechytryć kobiety.

Więc zaraz od swej granicy przeżegnał się pobożnie i począł śpiewać litanję, bijąc się w piersi całą garścią.

Zdumiali się sąsiedzi, słysząc te śpiewy, a najbardziej dziwowała się Maciejowa, wiedząc, że chłop jej nie zanadto rwie się do kościoła i do modlitwy nie bardzo jest natomny.

Więc gdy Maciej skończył antyfonę przysunęła się do chłopca, jak mogła najbliżej i łaszcząc się niby kocica, rzekła:

— POCAŁUJ mnie, mężulku najmilszy!

Maciej znał się na tych sztuczkach, przeto przejeżdżając przez leśną polanę dobrze wytarł gębę miętą. Zaraz też ułapił żonę i pocałował ją w same usta.

— Widzi mi się, że od ciebie jedzie miętówka, mężulku mój najdroższy...

Wymawiając te słowa już rozmachiwała rękę, aby wziąć dobry rozpęd, ale przewidział ten ruch Maciej, bo objawszy babę oburącz mówił przekonującym głosem:

— Nie miętówka tak pachnie, ani żubrówka, lecz woń sprawiedliwych, bom spowiadał się u Bernardynów, dlatego zabawiłem nieco przydługą w mieście, ale jakichż nie zazna człowiek niewygód, aby osiągnął zbawienie?

— A wódkę i wino na chrzciny przywiozłeś?

— A kielbasa jest?

— O niefortunna niewiasto, zawołał chytry chłop. Wódkę-byś żłopała, sąsiady rozpijała, rozkosz ciachu dawała? Smażyć się będziesz w smole po uszy!

PIENIĄDZE, które dałaś mi na zakupy ofiarowałem ojcom Bernardynom, aby Mszę odprawili za twe nawrócenie.

I tak chłop jęczał i wyklinał występki, że w babie ruszyło się sumienie i czując własny grzech, przemówiła, jak najłagodniej:

— Dla kumów uwarzę trochę piwa, a na przekąskę wystarczy kołacz i dzierzka sera.

— Przekonałeś mnie mężulku i idąc twym śladem zaraz po chrzcinach wybiorę się do ojców Bernardynów, aby mnie także uświęcili.

I jak rzekła tak się stało.

Przypadkiem przejeżdżał przez Koziebrody Boruta, a widząc, co się dzieje, kazał przywołać do siebie Fugasa.

Jaka była rozmowa wojewody z djabełem nikt nie wie. Fugas wprawdzie wyszedł od Boruty uśmiechnięty i zadowolony, jakby nigdy nic się nie stało, ale pyski miał zaczerwienione i dłuższy czas posykiwał, siadając na zadzie.

Gdy go zaś częstowały przepalanką wojewodzińskie birbanty, odsuwał kieliszek, mówiąc:

— NIE DLA djabelskiego gardła ten napój, lecz dla ludzkiego i nie godzi się czartowi niszczyć tego, co przeznaczone na zagubę człowieka.

Birbanty zaś śmiały się i łykały kielich po kielichu, żałując Fugasa, iż utracił radość życia.

Po rozmowie z Borutą i odprzysiężeniu się gorzałki oraz wina, pospieszył Fugas do Koziebród, aby odrobić zło, którego napytał.

Postanowił tam pomieszkać przez czas dłuższy. Żył biedaczek jak pies, tułając się po oborach i komorach, sypiał w popiele pod kuźnią, a gdy nastały jesienne niepogody zaszywał się w bróg siano. Tu porwał, tam polizał, niekiedy o północy wydoił krowy w oborze, bo przecież jeść mu się chciało i nie mógł przymierać głodem.

Nad miarę zaś czuł się szczęśliwym, kiedy udało się mu wcisnąć do karczmy i ukraść kugiel żydowski, lub kawatek szabaśnej rybki.

Czynił to jednak bardzo przezornie, aby się nie zdradzić, bo koziebrodzki proboszcz doskonale znał się na fintach djabelskich, a kropidło miał jak wiechę.

JESLI kropił wyglądało, iż chmura urwała się w niebiosach i spada ulewa.

Taka kąpiel przerażała diabła, a egzorcyzmów bał się gorzej, niż wojewody łeczyckiego, a nawet samego Lucyfera.

Po mokrej jesieni nastał okrutny mróz na świecie.

Fugasa zamarło grzały już kudły i pewnej nocy omal nie zamarzł na sopel.

Pomyślał więc:

— Niech się dzieje co chce, weźmę do Maciejowej chałupy. Najpoboźniejsi to ludzie w Koziębrodach, nikt się więc nie domyśli, że chowają diabła. Będąc zaś bliżej nich znajdę łatwiej sposób jakby wtrącić oboje do piekła.

I tak zrobił. Zaszył się w piec i nie wychylał łba z dziury. Strasznie mu się sprzykrzyło takie życie.

Jeść miał co, bo jadło stawiano w kominie tuż przed djabelskim nosem, ale drętwiały mu uda z ciągłego leżenia i głowa go bolała od ustawicznych rozpamiętywań.

SPAŁ ile mógł, ale wreszcie i sen mu obmierzł, więc wiele ryzykując, wychylił się z nory, aby wyprostować członki.

Przeszedł się po izbie, zawędził mimochodem trochę tytoniu do fajki i zapragnął wyjrzeć na świat, bo nie oglądał go już trzy tygodnie.

Ogromnie pięknie wydawało się mu na dworze. Srebrne kiście drzew kłaniały się sobie w sadzie. Gwiazdami srebrzyło niebo, a na białym śniegu potyskiwały miliony brylantów.

W taką biel ubierają się boscy aniołowie i tak akuratnie skrzą się ich włosy i szaty.

Djabłu zrobiło się żal, że nie nosi takiego płaszcza, choć mógł go mieć dotąd, gdyby nie dał się unieść pysze i nie przystał do Lucyfera.

Fugas chciał policzyć brylanty rozrzucone na śniegu i już dobiegł do biljona, gdy dziecko zakwiliło w kotysce.

— Cicho, cicho, maleńki, szeptał djabeł i zdjęty obawą, aby matka się nie zbudziła i nie przerwała mu dumania, zakotłosał dziecko.

Huś, huś!

PODNIOSŁA powieki Maciejowa i widzi: djabeł dziecko kołysze.

A niech kołysze, bezgrzesznym czart nie szkodzi, a do dobrych niema też przystępu i nabożnie się przeżegnawszy zasnęła znowu jak kamień.

Ośmieliło to Fugasa i odtąd co nocy wychodził na izbę, aby spojrzeć przez okno — czy zawsze tak pięknie na świecie, lecz równie anielskiej nocy nigdy już potem nie oglądał.

Do samego lata przeleżał Fugas w Maciejowej chatupie. Cichcem nawet wyręczał gospodarza — to koniom zarzucił siano za drabki, to drzew narębał, wodę przyniósł ze studni, a gdy Maciejowa wyszła do sąsiadek ubawiał dzieciaka i nieraz dla niego ukradł u kupca piernik, lub jabłko, bo mu się malec bardzo podobał.

Małżonkowie często dziwili się, kto to wszystko robi, a gdy pewnej nocy usłyszeli wyraźnie jak żarna miela pszenicę, którą przeznaczili do umi-

lenia, zawołał Maciej do żony:

— Chyba djabeł nam służy...

Niech służy, kiedy mu dobrze, odrzekła niewia-

STA I ZATKAŁA ręką usta mężowi, żeby nie spłoszył robotnika.

I naprawdę dobrze było djabłu u Maciejów, więc choć obiecywał sobie wtrącić ich do piekła, zawsze odkładał do jutra i tak mu zbiegło, aż do upałów. Fugasa jednak zgubiło łakomstwo.

Cóż mógł biedaczek poradzić, gdy ciągle łaskotało go podniebienie i ślinił mu się język na widok różnych dobroci.

Pewnego upalnego południa wsunął się biedaczek do proboszczowskiej piwnicy, aby uchronić się od skwaru słonecznego.

Rozebrało go w miłym chłódtku i tak się zdrzemnął, iż przeszedł mu niepostrzeżenie dzień i dobrze już po zachodzie djabeł przetarł oczy.

Chciało mu się pić, a tuż przed nosem stał garnek pełen śmietany.

Wonny, chłodny, rzeźwiący.

Fugas nie mógł się oderwać od tego widoku i choć rozum nakazywał mu hamować łakomstwo, nie zdołał oprzeć się pokusie.

— Umoczę choć koniec pyska, jedną kropelkę od-

WILŻĘ spieczone gardło, mruczał djabeł. I straciwszy nad sobą panowanie przyłożył pysk do garnka.

Skoro go oderwał przeląkł się własnej słabości. Wychlał większą część śmietany.

— Co teraz będzie? Co będzie? zajęczał Fugas, widząc, że nie wymiga się już księdzu.

Potężne kropidło przejmowało go dreszczem.

Chciał biec, ale nie wiedział dokąd.

Przyrzekł Borucie, że całą wieś ściągnie na bezdroża, a Macieja i Maciejową uczyni sprzymierzeńcami piekła.

— Wszystko przepadło, zawył cicho i sam się chciał wytrząsać po nienasyconej gębie.

W tej rozterce wydobył się z piwnicy, unosząc z sobą resztę śmietany w garnku, której żał mu było zostawić, bo smakowała mu niezmiernie.

Cwałując drogą dojrzał na skrócie niedawno wzniesioną przez pobożnych parafjan, figurę świętego Antoniego, patrona rzeczy zgubionych i obrońcę przed złodziejami.

Wzdrygnął się djabeł na ten widok, wiedząc do-

KŁADNIE, iż święty patron natchnie proboszcza, gdzie szukać należy istotnego sprawcę kradzieży.

Djabelskim rozumem postanowił skierować podejrzenia na inne tory i oczernić opiekuna pokrzywdzonych ludzi.

Wdrapał się więc na figurę, omazał śmietaną brodę i wąsy świętego, co zostało wypit, garnek zaś rozbił, a skorupy wrzucił do wody.

Dokonawszy tego dzieła czmychnął do Maciejowej chatupy, aby doczekać się końca sprawy.

Nie na wiele zdała się djabłu chytryść.

Proboszcz, wykrywszy złodziejstwo, długo się zastanawiał, co o niem sądzić.

Ani w piśmie świętem, ani w rubryceli, nie znalazł śladu, aby święci krzywdzili plebanów.

A jednak wszystkie pozory przemawiały za tem, że święty zlakomiał się na śmietanę.

Dzień taki skwarny i noc nie chłodniejsza, zachciało się staruszkowi pić, tłumaczył proboszcz.

— Gdybyż dał jakiś znak, nie pożalowałbym mu niczego.

— *NIE WIELKA* to wprawdzie strata, ale zawsze nieładnie, gderał w duchu pleban.
Po chwili jednak zrozumiał, że myśl jego zesła na manowce i pożałował posądzenia.

Wrócił jeszcze raz do figury i obejrzał ją dokładnie.

Na brunatnej szacie posągu dojrzał wyraźnie ślad pazura, a wyżej jeszcze kudły z djabelskiego poszycia.

Teraz nie miał już żadnej wątpliwości.

Była to sprawa szatańska.

Proboszcz wiedział, co mu teraz czynić wypada. Zwołał całą gromadę i zapowiedział, iż nazajutrz wykadzi i wykropi wszystkie domy i zakamarki, ażeby wypędzić diabła z Koziebród.

Na tę uroczystość nie chciał czekać Fugas i drapnął, gdzie pieprz rośnie.

Do Koziebród już nie zagląda z obawy przed srogim proboszczem, ale biega dotąd po polskiej ziemi, żywiąc się jak może.

Tu porwie kawał stoniny, tam skibkę chleba, a ludzie myślą, iż czyni to pies, kot, szczur, lub inny

JAKIŚ łakomczuch. Nieświadomi rzeczy ważnych i doniosłych nie zdają sobie sprawy, iż takie jest powołanie Fugas a djabeł ten innym już nie będzie.

DJABEL OPETANY

DŁUGI CZAS NIE WIEDZIAŁ LUCYFER

*co się dzieje, że djabły wodzą się za czuby, wymy-
ślają sobie wzajemnie i jeden na drugiego spoglą-
da jak bazyliszek.*

*Niby się uśmiecha, niby czuli, w gruncie zaś rze-
czy przydeptał-by ochotnie ogon przyjaciela, lub
wbilił mu w piersi sztylet.*

*Jak piekło piekłem nigdy tego dotychczas nie by-
wało!*

*Zmartwił się więc książę ciemności wiedząc, iż
niezgoda rujnuje najmożliwsze królestwa, przeto
i jego może zrujnować.*

*Co tu gadać, trzeba było radzić, bo djabły sta-
wały się coraz bardziej zadzierzyste, rozbijały so-
bie paszczęki, przetręcały gnaty, a honorniejsze
między nimi wyzywały się na broń sieczną, lub*

PALNA, z czego przychodziło do ciężkich porażeń, a nawet kalectwa.

Najbardziej zaś szalał Iskrzycki.

Nie wielka to była sztuka, ale tak czupurna, iż nawet potężny Lewiatan ustępował mu z drogi i gdy go kiedy przypadkiem napotkał, choć w nich nie zawinił, mówił — przepraszam, ażeby na wszelki wypadek zabezpieczyć się od obrazy.

Iskrzycki waleśał się cały dzień po piekle i dochodził swych krzywd.

Pięćdziesięciu diabłom już porąbał pyski szerpentyną, bo był znakomitym fehmistrzem, pięćdziesiąt uszu obciął, pięćdziesięciu czartów postrzelił, a drugie tyle a może nawet i więcej miał niezatartwionych porachunków.

Choć Lucyfer nie lubił, żeby się diabły wadziły, szanował Iskrzyckiego i często o nim mówił:

— Uczy on przynajmniej moresu gburów i nieokrzesanów, lepsze zatem obyczaje panują w piekle, a czarty są grzeczne i uprzejme.

Lecz co zawiele, to zawiele!

Zawołał przeto Lucyfer Iskrzyckiego i tak mu

POWIADA: — Zwarjowałeś, diabłów siekasz jak cielęcinę, stu pięćdziesięciu już naznaczyłeś i jeszcze ci niedosyć...

Nie mogę, najciemniejszy panie, nie mogę darować. Korzę się postusznie przed twym majestatem, ale obrażać się nie pozwolę.

— Co u licha, zawołał Lucyfer, ktoby śmiał zaczynać z takim hałaburdą?...

— Nikomu dotąd nie wadziłem. Utrzymywałem w porządku szpikulce na grzeszników; gdyś wyraził życzenie, najciemniejszy panie, obchodziłem nocą strażę i nikomu nie przepuściłem. Coś kazał, czyniłem, ale honor mam i nikt mi go nie odbierze.

Widzi Lucyfer, że nie przelewki, bo diabeł bardzo rozżalony i omal mu tzy nie kapią z oczu, więc zaczyna inaczej...

— Kochany Iskrzycki, dobry z ciebie kmotr, powiedz, co ci dolega?

— Mówią, że mogę zostać rogaczem.

— Raczej-bym zniósł, żebyś mnie, najciemniejszy panie kazał łamać kołem, lub kąpał w lodzie, niż

GDYBYM miał istotnie zasłużyć na podobną obelgę.

— Błagam przeto, pozwól, niech odejdę na ziemię, abym uciekł z tego piekła, gdzie mnie ranią tak boleśnie.

Wstrętne pudło, zawołał *Lucyfer*, tyle z nią kłopotu, a to wszystko z winy tego głupca *Orfidona*, który grywa na gitarze.

— Nie może, bestja, wygrywać bykom ognistym, lub salamandrom, tylko zachciało się mu *Sabiny*.

— Wszystkie inne djablice powyrzucąłem już na ziemię, aby tam gospodarowały, a tę tylko jedną zostawiłem w piekle, bo mi wytłumaczyli przyjaciele, że muzykus bez niej żyć nie może.

— Ot i co?

— Wszystkie djabły tracą dla niej łby, sważą się i rozbijają, a głupi *Orfidon* zżera się zazdrością, lamentuje i boleje, aby wszystko to potem wybrzdąkać na gitarze.

Prawda, pięknie brzdąka, aż mnie samego nieraz przejmują dreszcze.

— *PRZYSIĘGŁA*, mówi *Iskrzycki*, iż tylko ze mną pragnie pędzić życie, bo nikt jej tak nie rozumie jak ja i niema przyjemniejszego diabła odemnie.

Lucyfer zaśmiał się pod wąsem, lecz nie śmiał powiększać bólu rozżalonemu czartowi, więc zgryzł wargi i słuchał dalej narzekań.

Oudnie się wszystko zapowiadało...

— *Orfidon* wymyślał coraz nowe melodje, a *Sabina* odbywała ze mną dalekie przechadzki!...

Ażeby jaknajdalej umknąć od znajomych zabrałem nietoperzowi skrzydła i tak długo przymierzałem je i próbowałem, aż nauczyłem się latać.

— Sadzałem więc codziennie *Sabinę* na barach i rwałem z nią przez powietrze do cichych ustronń.

— Ach, jak nam dobrze było!

Iskrzycki ryknął bekiem, a *Lucyfer* pożałował, wszy diabła odezwał się wzruszony:

— Widzę, że jesteś zgubiony — odejdz więc na ziemię, a gdy się opamiętasz, przywołam cię z powrotem do piekła...

— Lecz *Sabinę* pozwól z sobą zabrać! Siędzie na

MNIE jak na koniu i ani się obejrzy, gdy będziemy na ziemi wolni od djabłów, które jej depcą po piętach.

— *Czyś zwarzował, Iskrzycki, perswadował Lucyfer. Alboż tam, na ziemi, mało masz bab? I to jakich? Co ci po takiej starej klaczy?*

Rozkochany jednak djabeł ryczał jak bawół i błagał, że Sabina jest najmilszą ze wszystkich i poza nią nie widzi świata. Zaś muzykus, Orfidon, tak bardzo za nią nie przepada, bo więcej myśli o pieśniach, niż o kochance.

— *A zatem spróbujemy, lecz gdyby nasz grajek miał oniemieć z powodu utraty djablicy, odwołam Sabinę natychmiast, a ty sobie radź, jak chcesz — rozstrzygnął Lucyfer.*

— *Niema obawy, niema obawy! wołał uradowany Iskrzycki. Omoknął księcia w ogon i poleciał w odległą czeluść piekieł, gdzie spodziewał się odnaleźć djablicę.*



DLA SWEJ ukochanej urządził czart prawdziwy raj na ziemi.

Własnymi pazurami wydtubał obszerną dziuplę w drzewie. Obsadził wokół pachnące róże i zwałił słowiki, aby wyśpiewywały rzewne trele.

Sabina spoczywała na miękkuchnej podściółce z mehu, a djabeł przynosił jej same przysmaki: to słodki owoc, to plaster miodu lub puhar rosy porannej, nie zbywało jej też na cukrach i piernikach, a gdy zapragnęła jakiej ozdoby, już ją miała...

Choćby z pod ziemi, ale wydostał ją Iskrzycki.

Pewnego poranka wyszła Sabina, aby zobaczyć jak wygląda świat, bo dotąd nigdy go nie widziała.

Wprawdzie dochodziły ją słuchy, rozszerzane przez wypędzone z piekła djablice, iż na ziemi jest rozkosznie, lecz jakaż kobieta dałaby wiarę drugiej kobiecie, która coś bardzo wychwala.

Pierwsze kroki rozczerowały Sabinę i pomyślała sobie, co za wściekłe nudy muszą panować na ziemi. ...

NIC, TYLKO drzewa i bagna, czasem mignie polana i trochę zieleni, a poza tem przerażająca pustka.

Nie wiedziała tego djablica, iż osadził ją Iskrzycki w głębi olbrzymiego boru, dokąd niezbladziła ludzka noga.

Tak bowiem był zazdrosny o swą ukochaną, że nie chciał, aby poznała ludzi.

Wprawdzie djabeł znaczy więcej od człowieka, lecz nie wiadomo, czy Sabinie właśnie nie spodobały się chłopcy, tak jak się spodobały innem djablicom, że łańcuchami nie ściągnął-by ich teraz do piekła.

Razu pewnego, gdy zakochana para przechadzała się po lesie, rozległ się nagle łoskot, jakby w pobliżu zwalano drzewo.

Oboje drgnęli.

Iskrzycki z przerażenia, Sabina z ciekawości.

Djabeł zawrócił natychmiast do domu, ale Sabina chciała biec w kierunku, skąd dochodził łomot siekiery.

— Wracajmy natychmiast—wołał Iskrzycki.

— ZOBACZYMY, co to takiego? — prosiła djablica.

I tak długo przymilała się i lasiła, że kochanek ustąpił i poszedł tam, gdzie chciała.

Na skraju polany stał drwal, niechlujny i kudłaty, podobny raczej do zwierza niż do człowieka. Jedno jego oko powlekało bielmo, a drugie patrzyło zezem, uśmiechał się sam do siebie bezzębnemi ustami, a obrzękła twarz miała barwę buraka.

Sabina aż zachłysnęła się z zachwytu.

Pełna szczerzego podziwu spoglądała na drwala i wyszeptwała:

— Ach, jakiż on piękny!

— Matka, ryknął djabeł.

— Piękniejszy od ciebie, mój najdroższy!

— Wygląda jak kosmaty niedźwiedź.

— Lecz co za wzrost, co za budowa! — dowodziła djablica.

— Głupi, jak stołowe nogi, syczał djabeł.

— Ale jaką musi mieć siłę, skoro obala takie dęby! Nie potrafił-byś tego mój Iskruniu...

— Dziesięć takich dębów wyrwałbym zkorzeniami.

— SĄDZĄC z tej strony, z której cię znam, powątpiewam — odpaliła djablica.

I nie czekając, co odpowie kochanek, pędem puściła się w stronę drwala i objęła go za szyję.

Iskrzycki oniemiał z oburzenia i stał w miejscu nieruchomy. Gdyby mógł, zabiłby rywala, lecz prawa djabelskie wzbraniają djabłom podnosić rękę na ludzi, skomlał więc tylko z wściekłości i sypał z oczu takie złe spojrzenia, że skrami jarzyły. Drwal jednak nie ulękł się tej grozy, lecz wzgardliwie splunąwszy w stronę licha, zajął się Sabina.

Chłop wyprowadził djablicę z puszczy na świat, lecz niedługo cieszył się posiadaniem kochanki.

Zaraz w najbliższej karczmie musiał zastawić pas rzemienny i siekiere, bo Sabinie zachciało się obwarzanków i piwa, a gdy drwal nie mógł jej kupić chustki, którą zobaczyła w kramie w miasteczku, opuściła go niewierna i przyplątała się do kupca.

ALE I KUPIEC nie mógł nastarczyć kaprysom djablicy, więc zostawiwszy go w wypróbnym sklepie, zarzuciła ramiona na szyję bezwstydnego draba i wraz z nim poszła w świat używać wszelkich uciech i radości.

Straszliwa to była para.

Dotąd jeszcze trwa pamięć tych zbrodni jakich dopuścił się kochanek djablicy, przez nią podżegany.

Sabinie wszystkiego było mało, a gdy drab ofiarowywał jej pełne szkatuły złota i banknotów, przyjmowała je lekceważąco i robiła wymówki, iż tylko tyle odważył się jej przynieść.

Kochanek rozbijał i mordował, a djablica szydziła z jego niedołęstwa, doradzając mu coraz większe łotrostwa i zbrodnie.

Nie mógł wreszcie drab wytrzymać, sam się wydał w ręce sędziów i pozwolił powiesić.

Sabina nie zapłakała nad stratą kochanka, lecz rzuciła się w inne objęcia, a ciągle żartoczna i nie-nasycona przechodziła z rąk do rąk, domagając się kosztownych bachanalji, marmurowych pał-

CÓW, DROGICH klejnotów, przedziwnych pachnidel i pieszczot dla uszu, smaku, oczu i dotyku.

Widział to wszystko Iskrzycki i rozmyślał skąd tyle złości w jednej djablicy, iż świat cały przewraca do góry nogami.

W piekle tak dokazywać nie mogła!

Rozbijały sobie o nią diabły tby — to prawda — ale wnet nabierały rozsądku. Nawet Ordifon muzykant, o którym wszyscy wiedzą, iż jest delikatnego serca, umiałby ją utrzymać w ryzach, gdyby ciągle nie brzdąkał i więcej zwracał na nią uwagi. Iskrzycki doskonale radził sobie w piekle z djablicą, na ziemi zaś jest wobec niej bezsilny i tylko na skrzydłach nietoperza przelatuje z jednego końca świata na drugi i wszędzie jest, albowiem chce wypatrzeć chwilę, w której Sabina będzie samą. Wie dobrze, co by jej wówczas powiedział.

Wcale-by nie płakał i nie prosił, jak to czynił Ordifon, ale zarzucił-by ją taką hurmą przekleństw i złorzeczeń, żeby się z pod ich ciężaru nie zdołała wydobyć.

CÓŻ KIEDY jej nigdy sam na sam spotkać nie może.

A często nie wie nawet, gdzie przebywa.

Już sto lat nie widział zdrajczyni, przeto krąży nad domami ludzkimi, przepatruje podwórka, zaziera w okna i kokuje koło drzwi.

A kwili przy tem i pohukuje, odgraża się i złorzeczy tak straszliwie, że trwożą się dusze ludzkie, przeczuwając mór, śmierć, lub klęskę.

Czyni zaś to nocami, gdyż światło dzienne go oślepia i łatwo mógłby rozpoznać człowieka, iż nie jest ptakiem, lecz djabłem.

A kiedy osłabnie, siada na wierzchołku wieży, starej lipy, lub topoli i spogląda w dal skrzęciami oczami, a ludzie, widząc te ognie, mówią, iż Iskrzycki czuwa i grzesznych wypatruje.

Gdy pewnego dnia znużył się djabeł lotem, żalem i skomleniem, zawrócił do piekła i stanął przed Lucyferem.

— *NA* Ciemniejszy panie, każ mi spełniać przy sobie najpośledniejsze posługi, a będę się czuł szczęśliwym, odezwał się Iskrzycki.

Nakaż tylko Sabinie, aby opuściła ziemię i wróciła znów do Orfidona.

Niech mnie już zwą w piekle rogiaczem i głupcem, godzę się na wszystko i ani razu nie wydobędę z pochwy szerpenty, choćby mnie diabły jeszcze gorzej obrażały.

Księżę ciemności bardzo spochmurniał na te słowa, a Iskrzycki ciągnął dalej:

— ludziom zadawała okrutnica tak srogie męki, iż chociaż diabłem jestem, przejmowała mnie litość.

Niesprawiedliwie przeto, aby człowiek cierpiał już za życia, skoro pokutować będzie całą wieczność.

— Głupi jesteś! — wrzasnął Lucyfer.

— Wiem o tem — odpowiedział pokornie Iskrzycki — bo gdybym miał trochę oleju w głowie, nigdybym się nie domagał, abyś mi pozwolił, Najciemniejszy Panie, odejść na ziemię.

— *JAK* chciałeś, tak się stało, a w piekle niema już miejsca dla ciebie, albowiem zajęte już są wszystkie posady.

Djabł jęknął i padł na kolana przed majestatem, błagając:

Zmłuj się, wodzu piekielny!

Lucyfer kopnął go pogardliwie w brzuch i nie chcąc słuchać jęków, odszedł w inną stronę królestwa.

Po drodze zaś przemówił do zawsze uśmiechniętego Bobona:

— Po końcu świata szczególnie honorowe miejsce przeznaczyć musimy Sabinie, albowiem zakasowała wszystkich diabłów razem i wiekopomne zasługi oddała piektu.

Orfidon po jej stracie stał się natchnionym śpiewakiem i nigdy tak pięknie nie wygrywał, jak teraz, Iskrzycki zionie taką złością i nienawiścią, iż niszczyć będzie i burzyć każdy ład i porządek, a ludzie wymyślają dla Sabiny różne uciechy, aby ją zabawić i uweselić.

W tej chwili doszedł do uszu djabelskich dźwięk

ODLEGŁEJ muzyki, strzelanie korków i hałas zabawy.

Lucyfer nastroszył słuch i przejął tony wściekłego tańca i wrzaski pijanej hulatyki.

Sabina szalała i zjednywała dusze dla piekła.

Księżę ciemności przechylił się przez balustradę, aby ujrzeć wyraźniej rozhulane grono i wśród ścisku ludzkiego spostrzegł postać djablicy.

Szklili srebrem i brylantami, uśmiechała się czarownie, sunąc w dygach i podskokach.

Lucyfer długo się wpatrywał, a potem oboma rękami uderzył — bravo!

DJABLI KALENDARZ

*MERDASIŃSKI POSIADAŁ SŁAWĘ NIE-
bylejakiego diabła.*

*Był dziwnie urodziwy, że aż sam Lucyfer nie
mógł mu się napatrzyć, a djablice spozierały na
niego łakomie i nie tały wcale, że bardzo się im
podoba.*

*Przy dziwnej gładkości lic, niezwykłej czar-
tom, posiadał Merdasiński wielki rozum. Umiał
przepowiadać deszcze i pogody, a na gwiazdach
znał się lepiej, niż profesorowie astronomji.*

*Wyszedł proboszcz w Sikorzu na górkę i mówi:
— Ludzie drodzy, jutro pewna zlewa, bo słońce
zaszło za smugi — a Merdasiński w śmiech —
— Kto do licha tak w krzaczach rehoczę?
Djabieł szust, wlaź pod most i słucha:
— Od zachodu kurzem miota na stotę — a czart*

W RYK, drze się, jak oszalały i tańczy na wydmię, kręcąc się kółkiem, lejkiem, aż pod nos proboszczowi sypnął płacheć piachu i przepadł w parowie.

Słyszano wyraźnie w sośninie: żar, żar, wszystkim się jednak zdawało, że to łopocą gałzki chojarów, a tymczasem diabeł przedrzeźniał prorocztwa astronoma i wieścił upał.

Jakoż miał rację. Nazajutrz i tydzień potem, skwarzyło, niby w rondlu.

Byłby sobie Merdasiński spokojnie siedział obok lucyferowego tronu i zażywał wielkiej wziętości, gdyby nie był łotrem od urodzenia.

Nie zapisano tego w metrykach szatańskich, lecz przebąkiwano wśród czartów, że Merdasiński rozum wziął po ojcu swym, Belzebubie, a gładkość lic odziedziczył po matce, która chociaż była córką kasztelana sandomierskiego, chadzała przecież na Łysą Górę i zadawała się z czartami. Dzięki temu wysokiemu pokrewieństwu ze strony ojcowskiej, Merdasiński należał do dworaków Lucyfera.

LECZ odezwiała się w nim natura matki.

Zamiast badać niebo i gwiazdy, lub nadzorować piekielnych palaczy, aby utrzymywali jednakowy ogień pod kotłami, a nie marnowali opału, kłamał bezczelnie, że z piekła nie widzi nieba i wyrywał się na ziemię.

Było to bardzo chwalebne dla czarta, że przyprowadzał dusze ludzkie do upadku, ale wszystko ma swoją miarę.

Skoro bowiem powracał do piekieł, nie spojrzał nawet na żadną djablicę i odepchnął z odrazą swą Mikoszkę, mówiąc bez obłudy:

— Pachniesz, ściervo, smołą i siarką, a ja lubię tymian, fiołki i lewandę, idźże więc precz do swych kamratów, a mnie zostaw w spokoju!

Piekielnica zaś w krzyk:

— A ty kasztelański synu, nie miłe ci moje zapachy? Widzisz go, wdał się w matkę, którą wędzono psom na szynkę i spalono na rynku, jako najpodlejszą z grzesznic.

A za rozwścieczoną babą, inne —

Ponieważ one w niektórych wypadkach spotem

TRZYMAJĄ, choćby poważnione były od kołyski, przeto wszczął się w piekle taki lament i takie ujadanie, że ani Lucyfer, ani Belzebub, nie mówiąc już o djabłach posledniejszych rang, nie mieli spokoju.

Przeto ksiązę ciemności wziął na stronę Merdasińskiego i powiedział:

— Drogi Merdasiu, ustąp na chwilę z piekła, bo wszyscy powarjujemy od tych babskich krzyków, dam ci ważne poselstwo na ziemię, a żeś czart mądry i sposobny, sławnego dokonasz czynu i choćbyś później jeszcze więcej mleł ozorem, żadna przeciw tobie swego nie obróci.

Widzisz, Merdasiu, jesteście pokrzywdzeni.

Aniołowie i święci znajdują się w kalendarzu i każdego dnia jeden z nich doznaje osobliwej czci na ziemi. A my — nie.

Wprawdzie zwolenników nie brak nam wśród ludzi i kto wie nawet, gdzie więcej dusz, w niebie, czy w piekle, ale porządnej czci nikt nam nie oddaje, świec nie pali, litanji nie śpiewa, a nawet nie wiedzą, kiedy są moje lub twoje imię-

NINY, choć jestem ksiązę, a ty piekielny hrabia.

Aż podskoczył Merdasiński na te słowa Lucyfera i zawołał radośnie:

— Najjaśniejszy panie, z ust mi wydzierasz, co wielokroć chciałem ci powiedzieć.

Od dawna przemyślałem już nad tem, ale nie śmiałem rzec, abyś mnie nie ofuknął, więc pomysł na piśmie złożyłem już przed stu laty Radzie Najwyższej, lecz tam tyle aktów czeka na załatwienie, że na mój nie przyszła jeszcze kolej.

— Tem lepiej, Merdasiu, tem lepiej — odezwał się Lucyfer — idź na ziemię, poradź się doktorów i rabinów, nie zapomnij o Dominikanach, a wyspekulowawszy, jak należy, pisz dzieło!

Powiedziawszy te słowa, przycisnął Lucyfer czar-ta do swego łona i polizał go serdecznie w oba policzki na znak pożegnania.

Merdasiński nie wiedział, czy ma się radować, czy smuć.

W piekle zażywał niemałych honorów, a gdy się wmieszał między djabelskie pospólstwo, wszędzie

ROBIONO mu pierwszeństwo, ustępywano z drogi, a halabardnicy prezentowali przed nim broń z rozkazu książęcego i z szacunku, jaki żywił dla wysoko postawionego dworaka.

Na ziemi zaś zdobywać będzie musiał estymę, ziarnko po ziarnku, a w dodatku niewiadomo, czy zdobędzie.

Lecz i dobre strony miała wędrówka po ziemi. Przedewszystkiem — miecznikowa żydaczowska. Cóż to była za kobieta? Rozum, wiedza i stateczność kojarzyły się w tej istocie. Wprawdzie trzech już pochowała mężów, ale jemu przecież nie da rady, bo djabeł jest i nic mu się stać nie może. Merdasiński uśmiechnął się cichutko i począł rozmyślać, czyniąc dygi przed zwierciadłem:

— Piękny jestem, nie dorówna mi nawet Mizdroń, który uchodzi za djabelskiego Adonisa i chełpi się powodzeniem u niewiast. Lecz na tem mi nie zależy, chociaż i to czasami miłe.

Na myśl o Mizdroniu skrzywił się niechętnie Merdasiński i wycedził przez zęby:

— Włóczęga, wszędzie go pełno, żyje cudzym

KOSZTEM i ciąga jeszcze za sobą głup-tasa Pazdronia, który zamiast pożytecznych czynów dla piekła, trawi czas na bezcelowej mitrzędze.

Styszałem, że kręcą się już te nieponie wedle Żydaczowa i zaglądają do miecznikowej.

Czego od niej chcą?

Czy taki niepoń Mizdroń, który zaledwie po łebkach liźnął djabelskiego Plutarcha i nie przeczytał do końca ani jednej mądrej książki, może u niej coś wskórać?

Prawda, w romansach bardzo jest bity i po francusku szwargoce, ale miecznikowa ma rozum doktorski i jest najmądrzejszą kobietą, jaką wydała kula ziemską.

Wie lepiej ode mnie, co się dzieje w piekle, w niebie zaś tak czyta, jak inny w kalendarzu, skoro mówi, pisać każde jej słowo, a w dodatku przysięgła, iż nie spotkała mądrzejszej ode mnie istoty, a gdym onegdaj żegnał ją w ogrodzie, ocierała chusteczką łzy, z żalu, że odchodzę.

ZERWAŁ się djabeł na to wspomnienie i ruszył
cwałem na ziemię.

Skoro zajechał Merdasiński do oberży pod „Złotym Kogutem“, zastał tam niezwykle poruszenie. W przedsionku roilo się od służby, a wśród niej łatwo rozpoznał djabeł czartowskie oblicza.

Domyślił się, że to pachotcy Mizdronia i Pazdronia, którzy, nigdy nierozłączni, włóczą się po świecie, narażając piekło na wielkie wydatki. Hrabiami zachciało im się być na ziemi, w jedwabie ubierać, fochy stroić i durniów zwodzić, którzy patrzą na grzbiet, a o rozum nie pytają.

Pachotkowie przypatrywali się podejrzliwie nowoprzybyłemu, a jeden z nich podskoczył nawet, aby wnieść do izby toboły, wypchane po brzegi księgami, które z sobą zabrał z piekła lub wypożyczył od Dominikanów, oraz z wielu kolegiat, szczygących się uczonymi scholastykami.

Skarbu swego strzegł Merdasiński, jak oka

W GŁOWIE, bo wiedział, że jest bez niego niczem i gdyby mu skradziono księgi, byłby tak nikczemnym djabełem, jak Smerda lub Pochwaliniec. Czart odtrącił jednak sługusa, nie chcąc się zdradzić, kim jest i skąd przybywa.

Baczne tylko rozpuścił oko i ucho, a przekonawszy się, że Mizdroń niczego jeszcze nie wskórał na dworze, zabrał się do pracy.

Nie łatwo mu to przychodziło, często zżymał się i błdził, a gdy oplątywały go wątpliwości, biegł do miecznikowej na radę, a ponieważ była uczona, więc czas mu się nie dłużył i nieraz do białego rana szła dysputa tak zawzięta, iż warto było posłuchać.

Merdasiński bardzo zażart się na księgi i nie zwracał nawet uwagi, iż miecznikowa w coraz piękniejszą stroiła się szaty, coraz rzewniej spoglądała na czarta, a pewnego ranka zapytała go, krasniewicz, jak piwonja, czy niema jeszcze czegoś do powiedzenia, co przejmie miłym dreszczem i czyni w oczach kobiety każdego głupca najmądrzejszym.

DJABEŁ myślał i nie odgadł, a że mu wstyd było przyznać się do takiego nieuctwa, obiecał, iż jutro powie na pewno i ucieszy mądrą niewiastę. Lecz nazajutrz nie poszedł *Merdasiński* do dworu. Skoro tylko zaszło słońce, rzucił się na łożo i zasnął kamiennym snem, okrutnie utrudziwszy się piórem i myśleniem.

Przespałby cały dzień, gdyby nie wszedł postaniec od niecznikowej, która w długim liście czyniła uczonemu wymówki, iż naraził ją na zawód i uciążliwe czekanie.

Nakazywała więc przyjść natychmiast, lecz *Merdasiński* nie miał siły dźwignąć się z postania, tak ciążyła mu głowa od nadmiaru myśli i odgadywania. Wymówił się więc chorobą i nagłą pracą, obiecując niebawem poprawę.

Aby zapomnieć o dolegliwościach, skierował myśl na kalendarz, który układał.

Właśnie zatrzymał się przed nazwiskiem *Aribela*. Dobry to jest djabeł, bardzo uparty w dziele i zawzięty na mnichów.

Wciska się do modlitwników, staje za uchem,

GDY czytają święte księgi i podszeptuje różne kacerstwa.

Ile dusz zatracił, trudno spałamiętać, ale tylu natorczył heretyków, że trzeba było budować dla nich osobne komory w piekle, bo w zwyczajnych piwnicach miejsca nie stało.

— Dam mu dzień w styczniu — postanowił *Merdasiński*, w rocznicę *Jana Złotoustego*, niech wiedzą w niebie, że i diabły niezgorszych mają doktorów.

W oktawę zaś potem, na świętą *Agatę* pannę, przeznaczam patrona *Mordoniusza*. Szubrawiec to wielki, ale sprawny djabeł.

Gnieździ się w ziarnkach złota, a kto tyknie kropelkę jego śliny, już przepadł z krete sem.

Nic go nie odratuje.

A na świętego *Faustyna* i *Jowitę* wsadzę *Kalfaktora*. Cześć mu się należy osobliwa, gdyż więcej wojen wywołał, niż lat upłynęło od stworzenia świata.

Ale i o *Borucie* trzeba pamiętać, wojewodą jest piekielnym na ziemi, więc niech doznaje cze

W TEN sam dzień, gdy wnoszą instancje do umęczonego biskupa Stanisława, który w niebie ma również wojewodzińską potęgę i przebywa w glorii osobliwej.

Rozważając tak ważne sprawy, ani spostrzegł Merdasiński, że upłynął cały dzień i słońce miało się ku zachodowi.

Wygryzmolił więc pazurem na papierze imiona patronów djabelskich i gotował się już do wyjścia, gdy uszu jego doleciał turkot karety, która wyjeżdżała z dworu.

Ciarki przeszły diabła i omal nie wyskoczył ze skóry. Obok miecznikowej siedział z jednej strony Mizdroń, a z drugiej Pazdroń wyciągał pięknie obute kopyta, przysuwając się do damy to bliżej to dalej, w miarę słów, które wypływał z pyska ku wielkiej ucieście niewiasty.

Merdasińskiego wyraźnie doleciały słowa, które mi diabli czarowali kobietę, czyniąc ją nad wyraz szczęśliwą i zadowoloną z towarzyszy.

Mizdroń mówił, gdy pochyliła się na prawą stronę:

— PIĘKNA jesteś, jak róża!

Pazdroń zaś, czując jej głowę przy swych ustach, szeptał:

— Wszystkie kwiaty przy tobie gasną i gwiazdy przypatrują ci się z zachwytem.

Mizdroń nie dał się ubiec w grzeczności przyjacielowi i gdy przyszła kolej na niego, robił matpią minę i cedził z udanym zachwytem:

— Najśliczniejsza!

Pazdroń zaś wtórował:

— Najcudniejsza!

Niewiasta drżała ze wzruszenia.

Ugodzony w samo serce Merdasiński, byłby się zerwał natychmiast do biegu, lecz wzrok jego padł na foljały, rozsypane po biurku.

Zgarnął je pośpiesznie do worka, dorzucił mieszek złota na wszelki wypadek i śmignąwszy ciężar na plecy, puścił się w pościg za uwodzicielami. Teraz dopiero odgadł, na co czekała miecznikowa i jakie słowa winien był mówić, aby zdobyć jej przyjaćielstwo. Takich kłamstw nigdy nie wykrztusiłoby jego gardło.

PIĘKNĄ była miłą i powabną, ale djabły przesadzały w uniesieniach. Tyle miała przecież rozsądku, iż mogła się poznać na prawdzie.

Czemuż więc nie odpędzi precz tych oczajduszów i nieczemnych łgarzy, ale uśmiecha się radośnie i promienieje ze szczęścia?

Czyżbym się mylił, iż straciła rozum?

Takie myśli mając w głowie, biegł Merdasiński z pół godziny, ale nie mógł dogonić pojeżdżających.

Worek bił go po plecach, tamował ruchy i nieźnośnie przygniatał do ziemi.

Zatrzymał się więc czart pod krzywą wierzbą, wygrzebał pazurami dziurę i wsadził w nią swe skarby.

Dokonawszy zaś tego dzieła, puścił się jak strzała za niekącym na widnokręgu powozem.

Szedł opodal Kacper Ciomпка, wielki próżniak i ladaco.

WYGONIEA go z domu baba, bo nie miał się żadnej pracy, wylegując się w lecie pod gruszą w ogrodzie, a w zimie na przypiecku.

Gdy żona pędziła go do roboty, wykręcał się na drugi bok i odpowiadał:

— Nie przeszkadzaj mi, bo przemyśliwam, jak zostać bogatym!

Sprzyskrzyło się babie myślenie chłopca, które nie dawało nawet szperki na okrasę, więc wygnała go z obejścia, aby oszczędzić na jadle i nie patrzeć na nieponia, który do cna jej obrzydł.

Poszedł więc Ciomпка w świąt i zaszedł pod krzywą wierzbę, pod którą postanowił zanoć.

Ułożył się wygodnie pod drzewem i patrzy:

Świeżo ruszana ziemia, grzebnął raz i drugi, a pod palcami zaświecił nowiutki dukat.

Chłop rzucił się łakomie na zdobycz i za kilka chwil wyciągnął pełny mieszek złota, ukryty pod zwojami zapisanych foljałów.

Zebrał to wszystko porządnie, papiery sprzedał żydom pod placki, a za worek złota kupił taki

KAWAŁ roli, iż zwano go wielmożnym dziedzicem i pozdrawiano z daleka.

Skoro nazajutrz wrócił Merdasiński pod wierzbę, omal nie zbzikował z rozpacz.

Miecznikowej nie dogonił, a kalendarz przepadł bez śladu.

Chciał Ciompkę zagadnąć i ofiarować mu za papiery dziesięć razy tyle złota, ile zakopał pod wierzbą, ale nie mógł dostąpić do chłopca.

Pędził go dziedzic świętem słowem i znakiem krzyża, rozumiejąc, z kim ma do czynienia.

Merdasiński wyrywał sobie włosy z głowy, rozbijał pięścią własną paszczkę, próbował nawet obwiesić się z rozpacz, lecz wszystko nadaremno.

Bolał i nie śmiał pomyśleć o Lucyferze, który la-da godzina mógł go wezwać do piekła i zażądać kalendarza.

Chciał zacząć pracę na nowo, lecz jakże sobie poradzi, skoro zniknęły rejestra piekielne, w których zapisywano wszystkie szelmostwa djabelskie od stworzenia świata.

— PRZEPADŁO, raz na zawsze przepadło, jęczał Merdasiński, przyrównując się do największego durnia, jaki kiedykolwiek pojawił się w piekle i na ziemi.

Kiedy po dobroci niczego nie mógł wskórać u Ciompka, postanowił się mścić na chłopie, aż do ostatniej chwili jego żywota.

Nadeszła wiosna.

Wyszedł dziedzic w pole i uśmiechnął się zadowolony.

Widniał przed nim ogromny łąk, długi, iż oko nie mogło dosięgnąć granicy, a tak szeroki, że wóz z końmi wydał się jak mucha na suficie kościoła.

A gdy siał począł nie mógł nastarczyć ziarna i po całodziennej pracy nie doszedł nawet do połowy.

Wielkim jestem bogaczem, cieszył się dziedzic, a żona jego podskakiwała jak przepiórka, chwalać męża za przemyślność.

Skoro zaś nadeszła jesień i przyszło zbierać żniwo, łąk tak się skurczył, że Ciompka nie zebrał

ANI DZIESIĄTEJ części siewu. A gdy tak gospodarzył lat trzy, umarł z żalu i uczciwie go pochowano.

Merdasiński nie dowiedział się nigdy, gdzie zatrącono papiery, które miały mu zgotować wieczną sławę w piekle.

A że Lucyfer łaskawy i wie o nieszczęściu i złodzieństwie Ciompka, więc nie wzywa swego ulubieńca przed tron, lecz pozwala, aby błakał się po ziemi, nawiedzał rabinów oraz proboszczów i przypominał sobie, co zapisane było w rejestrze. Djabeł jest pracowity, nie zaniedbuje się ani chwili, więc może do końca świata ułożyć kalendarz.

Kiedys wśród wędrówki po ziemi spotkał Merdasiński nierozłączonych przyjaciół Mizdronia i Pazdronia.

Zagadnął ich statecznie i począł opowiadać swe krzywdy, które do głębi przejęły kamratów,

OFIAROWALI mu chętnie pomoc, a gdy djabeł zwrócił się z prośbą, aby spodem udali się pod Żydaczów i kopali pod wierzbami, zachnęły się oba djabyły, odpowiadając bez namysłu:

— Pójdziemy na drugą półkulę, ale nigdy do tego miasta.

Żyje tam dotąd miecznikowa, krasnieje jak piwonja i oczekuje naszego powrotu.

Niech czeka do sądnego dnia, kiedy taka głupia! Mówiąc to splunęli, litując się nad rozumem niewiasty, którą migiem wywiedli w pole, napłótnszy coś nie coś niedorzeczy.

Na taką odpowiedź Merdasiński skłonił łeb żalostliwie i powlókł się w stronę Kańczugi, gdzie mieszka pewien sławny teolog, z którym miał się naradzić, czy możliwem jest, aby czczono wszystkich djabłów naraz, bo choćby po stu zapisać w kalendarzu na jeden dzień, wielu jeszcze będzie pokrzywdzonych, a to byłoby niesprawiedliwie i nie po czartowsku.



SPIS ROZDZIAŁÓW:

	str.
GDZIE JEST PIEKŁO I KTÓRĘDY DO NIEGO IŚĆ NALEŻY?	5
W JAKI SPOSÓB BORUTA ZOSTAŁ WOJEWODĄ	25
SZELMOSTWO BORUTY	45
WESELE KARCZMARKI JAGUNI	63
PAN PUŁKOWNIK ROGALIŃSKI	77
DJABŁA PARAFJA	97
POKARANIE MEFISTA	115
ŻAŁOSNY ŻYWOT DJABŁA HEJDASZA	137
OPOWIEŚĆ O NIEPRZYJEMNYM DJABIE RO- KICIE	157
HISTORJA ŻARŁOCZNEGO DJABŁA FUGASA .	185
DJABEŁ OPĘTANY	211
DJABLI KALENDARZ	229



TEGOŻ AUTORA:

KOMEDJA OLIMPIJSKA

WIOSNA

(poezje).

ZŁOTE CZASY

(komedja w 3 aktach).

PIOSENKI UŁAŃSKIE

(komedja w 3 aktach).

SOWIZDRZAŁY

(komedja w 3 aktach).

BALLADY

WAZON I RÓŻA

(komedja w 3 aktach).

STANISŁAW LENTZ

(studjum z dziejów sztuki).

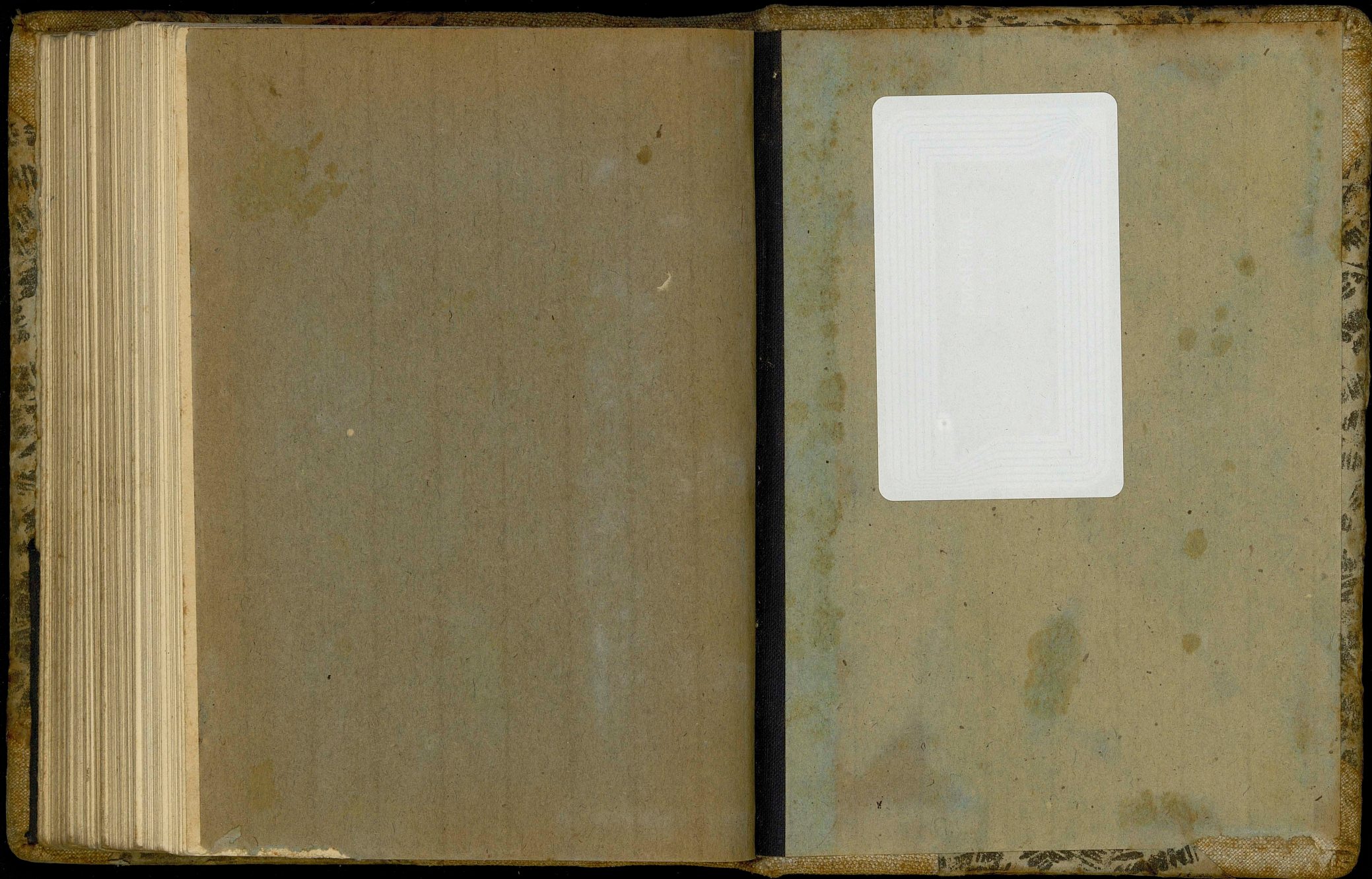
WSPÓŁCZESNA LIRYKA CZESKA

w przekładach.

CUD MIŁOŚCI

(ballada dramatyczna w 3 aktach).

OKŁADKĘ ZDOBIŁ
WINCENTY DRABIK



12282

